PRĄD

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNY

Warszawa.—1914.

ROK VI.—№ 4.

Cena 40 kop.

Drukarnia Społeczna Nowy-Świat 48.

Bibljoteka Prądu

jest do nabycia w Administracji PRĄDU i we wszystkich Księgarniach.

Zawiera ona cenne przyczynki do literatury etycznej i wychowawczej.

E. Wasman **„Trzy odczyty o ewolucji“** . c. k. 40

Dziełko to zdobyło rozgłos w całym świecie naukowym.

№ 2.

Dr. F. W. Foerster **„Studenci wobec katolicyzmu“** . . . . c. k. 30

Oryginalne poglądy znakomitego psychologa na stosunek młodzieży do Kościoła.

№ 3.

Dr. F. W. Foerster **„Seksualna etyka i pedagogika“** . . . . c. rb. 1—

Wspaniała, jedyna w swoim rodzaju apologja moralności chrześcijańskiej.

№ 4.

Ks. dr. A. Szymański **„Uświadomienie katolickie“** . . . . c. k. 60

Obszerny, systematyczny przewodnik literatury katolickiej.

№ 5.

Dr. P. Keppler **„Więcej radości“** . . . . c. k. 40

Jedna z napiękniejszych pobudek do życia i czynów. Dziełko to w Niemczech rozeszło się w 75,000 egz.

№ 6.

Ks. dr K. Lutosławski **„Skauting jako system wychowania moralnego“** . . . . c. k. 20

Jasne, głębokie ujęcie zasad harcerstwa.

ROK VI.—Nr. 4. Warszawa, Kwiecień, 1914.

PRĄD

Miesięcznik poświęcony zagadnieniom wychowania społeczno-narodowego

wychodzi w końcu każdego miesiąca prócz lipca i sierpnia
pod kierunkiem TADEUSZA BŁAŻEJEWICZA,
przy udziale JÓZEFA CHACIŃSKIEGO i ZYGMUNTA FEDOROWICZA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA. WARSZAWA, ulica WARECKA Nr. 10. Tel. 212-06.

PRZEDPŁATA ROCZNA: w Warszawie rb. 3, z przesyłką pocztową rb. 4. w Austrji koron 10; w Niemczech marek 9; we Francji, Belgji i Szwajcarji franków 11; w Stanach Zjednoczonych dolar. 2 cent. 10; w Anglji 9 szylingów.

Zagadnienie ludu polskiego.

III. Dusza chłopska.

W psychice polskiej coś się popsuło. Jasna, trzeźwa, czujna, silnym, pierwotnym patryotyzmem ożywiona myśl polityczna ustąpiła miejsca albo dedukcjom logicznym z podszytych wiatrem przesłanek, albo odpryskom myśli obcych, a niekiedy i wrogich, albo też najordynarniejszej—bezmyślności. Bujna, jędrna uczuciowość polska soki swe czerpiąca z gleby rodzinnej, z instynktów krwi, choruje dziś na anemję i żyje albo tym, co wyczyta u wieszczów, zdegradowanych przez większość czytelników do roli karczmarzy, rozpajających nerwowych młodzieńców i sentymentalne panienki, albo też tym, co jej udziela operetka, kawiarnia, kabaret. Energia, dzielność, zdolność sprawnej samoobrony, zdobywczość, uczciwość i cywilna odwaga w działaniu wietrzeją z charakteru polskiego, króluje natomiast bezwład, mazgajstwo, tchórzostwo i niechlujstwo moralne. Są tacy, którzy poprostu mówią i alarmują, że dusza polska wyemigrowała ze swego ciała.

Czas już przeto nie o ziemię polską tylko, miasta i miasteczka rozpocząć walkę, ale o tereny wewnętrzne — o niepodległość, czystość i wielkość duszy polskiej. Do niedawna my posiadaliśmy idee górne i wzniosłe, żywioły zaś obce, miasta, handel i przemysł nasz. Dziś nawet idee polskie wyparowują



z ciał polskich. Cóż nam pozostanie? Żyć będziemy, to nie ulega wątpliwości. Są insekty, które w ciągu 140 dni po odcięciu głowy—dają jeszcze znaki życia. Ale wstyd jest dla narodu, który według fantazji poetyckich przeznaczon był stać się Chrystusem narodów, żyć życiem nie — własnym, siłą nie z wewnątrz wydobytą, duszą nie własną, ale pożyczaną.

Każdy naród miewa chwile ściemnienia światła wewnętrznego, zatracenia drogowskazów, rozprzężenia sił. Ale żaden nie dochodzi do konsolidacji wewnętrznej drogą pożyczek ideowych, kombinacji politycznych i jałowych, scholastycznych dyskusji. Wchodzi poprostu wewnątrz siebie, rozgląda się w podziemiach gmachu kultury, zbudowanego przez przodków, opukuje, bada jego podwaliny, wychodzi na zewnątrz, zarysowane już części usuwa, ułudne kolumny, wsporniki — nic nie podpierające — odrzuca, fryzy i gzymsy szpecące styl budowli ździera, i wówczas rozpoczyna generalną przebudowę dotychczasowej rudery, w której dusze wielkie, wskutek ustawicznego pochylania, stawały się małymi, a małe, dzięki poniżeniu wielkich — wielkimi. Myśl jego wędruje do zasypanych gruzem źródeł duszy własnej, odgrzebuje je, aby fontanną sił nowych odświeżyły organizm zwątlały.

Nie inaczej i my powinniśmy zrobić. Trzeba się nam przebudować — od wewnątrz: zorganizować myśl narodową, odskrobać patryotyzm z pod literackiego pokostu, przywrócić mu świeżość barw, bezpośredniość wyrazu i czystość, a z woli uczynić sprawne narzędzie myśli patryotycznych. Przebudować psychikę naszą. Pójść do źródeł duszy polskiej. Gdzie one?

Nie wiem, w czym dzisiejszy Grek jest w stylu swego życia podobnym do przodków z epoki Peryklesa. Nie wiem, czy zna on homerycką walkę o Ilion święte, posępny geniusz Ajschylosa i dzieje miejsca dla praojców świętego, ateńskiego Akropolis. Mam natomiast pewność, że źródłem jego duchowych, społecznych i narodowych czynów, nie są zwoje papyrusowe, czy księgi z pergaminu, ani przecudne marmury połamanych posągów.

U nas — inaczej. „Chcesz nabrać ducha polskiego? — Kup sobie dzieła wieszczów i czytaj!“ Polskość za kilka rubli, polskość talmudyczna, książkowa, szczudłowata i frazesowa. Nic dziwnego, że niewiadomo, co z nią robić w życiu. Ni ją zmienić na banknot — czyn wielki (warunki życia mówią, że to szaleństwo), ni ją rozmienić na drobne — fakty i czyny. Można w nią najwyżej przyodziać się na święto, albo ją przegadać. Patryotyzm szewców świętujących i wróbli świergotliwych. Słowa wielkie i święte, wymawiane przez usta nie namaszczone chryzmem czynu — szukają, pospolitują się, nie znajdują echa. Chłop galicyjski, przyprowadzony na wiec, już dzisiaj, posłyszawszy słowo „Polska“, ma przekonanie, że chodzi o urządzenie obchodu narodowego, o nic więcej. Coraz rzadszym jest w Polsce inteligent, któryby, jak pewien mój znajomy młody malarz, na długą perorę, skierowaną doń przez młodzieńca wykarmionego na odpadkach ze stołu wieszczów, odrzekł cicho: i ja kocham Polskę — i zawstydził się swego dziewiczego wyznania.

Gdzież więc źródło polskości, jeżeli go niema w pomnikach literatury?

Już Platon powiedział, a Mickiewicz rozwinął myśl, że naród zbudowany jest na obraz i podobieństwo duszy obywatela. Rozległość terytoryalna narodu, jego siła społeczna i polityczna, jego kultura stoją w prostym stosunku do rozległości, siły i kultury duszy obywatela. A stąd wynika, że polskość,

jej źródło jest nie nazewnątrz nas, ale w nas samych. Naród to nie objekt, ale subjekt. Naród to — ja.

Przebudowa więc współczesnej psychiki narodowej winna się odbyć drogą subjektywną, przebudową duszy każdego Polaka — inteligenta, sumptem jego własnym. Na innej drodze można tę sprawę przedyskutować, przegadać, ale nie zrealizować.

Niestety, subjektywna ta droga nastręcza sporo wątpliwości. Na cóż mówić o nawrocie do źródeł polskości, tkwiących w duszy, jeżeli, jak stwierdzamy, wysychają one, jeżeli nie całkiem wyschły? Próżno zagłębiać się do pokładów najgłębszych, jeżeli obsunęły się one, skruszały, tworząc pieczary, wiejące pustką? Dusza polska jest na emigracji — jak ją przywołać?

Ale w tym zagadnieniu, jak wogóle wszędzie, niema położenia bez wyjścia, z którego by nie było — wyjścia. Dusza polska powróci do ciał polskich. Zawsze coś z niej zostało w głębi, czego wydrzeć nic nie jest w stanie. To coś odszukane, ożywione będzie miało moc, przyciągającą resztę duszy, rozproszonej po świecie. Tym coś — to jest instynkt polski, instynkt krwi i życia. Jemu należy przywrócić świeżość, barwę i siłę, a reszta się znajdzie. Wówczas będzie można zabudowywać się na nowo. Jak nadać siłę instynktowi polskiemu? W jakim stylu prowadzić budowę?

Jest w Polsce myśliciel, publicysta i działacz praktyczny w jednej osobie, który radzi w tej sprawie przyjrzeć się chłopu polskiemu, i dusze nasze, dusze Tadeuszów, Konradów, Zygmuntów przebudować na wzór i podobieństwo dusz naszych Maćków, Jaśków i Bartków. Jest nim Zygmunt Wasilewski. Prasa konserwatywna zarzuciła mu chłopomaństwo, doktrynerstwo. Mniemam, że zagadnienie postawione przez Wasilewskiego domaga się przedewszystkim zanalizowania duszy chłopskiej, jej konstrukcji, jej wad i zalet. Sam on tego dotychczas nie zrobił: w książce p. t. Myśl przebudowy wskazał zaledwie niektóre cechy psychiki ludowej, zająwszy się głównie krytyką współczesnej umysłowości polskiej, w głębokim zaś szkicu p. t. Prawo swoistości (Przegl. Narodowy r. 1914 № I) oświetlił chłopa, ale wyłącznie z jednego stanowiska — stosunku między jego kulturą duchową a cywilizacją. Podejmijmy tę pracę, uwzględniając nieco szerzej źródła psychiki ludowej i wypływające z niej zasadnicze cechy.

Tłem, na którym dusza chłopska rozwijała się, nie było życie społeczne ani życie państwowe narodu. Musimy to silnie podkreślić. Kultura narodowa nie była jednolita. Szlachta i lud żyły odrębnie, tworząc dwie cywilizacje, dwie kultury, związane między sobą jedynie wspólną dolą i niedolą państwową i tymi węzłami, które stworzyły wspólne pochodzenie, wspólna religja i język. Było pomiędzy nimi wzajemne przenikanie. To nie ulega wątpliwości. Kultura szlachecka w swym rozwoju rozpraszała między ludem małe promionki oświaty, powoli, ale ciągle.

Współczesna np. wiedza lekarska ludu jest wiedzą polskiej medycyny wieku XVI, tak samo jak pojęcia ludu o świecie, zjawiskach przyrody mają za źródło średniowieczną naukę. Z drugiej strony wspólność temperamentów ułatwiała przenikanie wpływów ludowych do kultury szlacheckiej w postaci np. przejęcia tańców, jak krakowiak, oberek, mazur od ludu, zwyczajów ludowych i t. p. Ale odrębność warsztatów, na których wyrabiały się dusze

chłopa i szlachcica, są jedynym źródłem odrębności psychicznych współczesnego ludu i współczesnej inteligencji polskiej.

My, inteligencja, nasz układ psychiczny zawdzięczamy głównie czynnikom wtórnym, życiu społecznemu i państwowemu przodków naszych. Główne wady i zalety biorą początek nie tyle w charakterze „słowiańskim", ile w wadach naszego rozwoju społecznego i politycznego. Lud natomiast w tym rozwoju udziału nie brał. Jest on, pomijając drobne naleciałości z ostatniego stulecia takim, jakim był za Piasta. Świeży, pierwotny, jakby dopiero co ulepiony. Oczywiście nie był on kaczką, po której woda stuleci i wypadków dziejowych spływała bez śladu. Ale silniejszych wyżłobień ani pęknięć w psychice swojej nie posiada.

Duszę chłopa ulepiły dwa potężne czynniki: ziemia i religja. One są źródłem mocy duszy chłopskiej.

Ziemia. Wielkie, pełne głębokiego znaczenia słowo. Sam lud ją zowie macierzą swoją. Cóż dziwnego, że to pokrewieństwo tak silnie oddziałało na jego duszę? Chłop od wieków płuży ziemię, przewraca z zaciekłością, uporem i — miłością. Jest ona po dziś dzień jedyną jego karmicielką. Całe życie schodzi mu na wpatrywaniu się w oblicze ziemi, na wsłuchiwaniu się w jej mowę, oddawaniu jej wszystkich sił swoich muskułów i swej duszy. Poza nią świata nie widzi. Polski czasem nie dojrzy. Umiłował ją wszystkimi fibrami ciała i duszy. Pozbawiony ziemi komornik to psychicznie nienormalna istota, łaknąca i pragnąca i nienasycona, jak każdy chłop—ziemi, często nienawidząca szczęśliwych posiadaczy. W ruchu rewolucyjnym r. 1905 chłop-gospodarz nie wziął udziału. Hasła wywrotowe znajdowały jeno echo wśród komorników i służby folwarcznej.

To pożądanie i umiłowanie ziemi przez chłopa polskiego jest dzisiaj źródłem naszej siły narodowej. Ruch włościaństwa poznańskiego w kierunku zdobywania ziemi jest główną przyczyną przechylenia się szali zwycięstwa w walce o ziemię polską na stronę naszą, począwszy od r. 1897. W r. 1896 tracą Polacy jeszcze 67 hektarów ziemi, lecz już w następnym roku zyskują 1,858 h., w r. 1898 zyskują 1,267 h. i t. d. W okresie czasu od r. 1896—1904 wykupują Polacy, głównie włościanie, z rąk niemieckich 267,400 hektarów, czysty zaś zysk po stronie polskiej wynosi 60,513 h. *).

Nostalgja chłopska za ziemią jest także głównym motorem psychicznym tak dziwnego i pozornie ze względów właśnie psychologicznych ruchu emigracyjnego za morze. Wszystko jedno gdzie, czy w podzwrotnikowej Brazylji, czy w lesistej i chłodnej Kanadzie, w stepowej Argentynie, czy na dalekich azjatyckich obszarach Syberji, byle ziemię posiadać. Wady naszej „dzikiej" parcelacji, która potrafi stwarzać 3 morgowe gospodarstwa, oczywiście ze szkodą dla kultury rolniczej, pochodzą właśnie z owej niepohamowanej u bezrolnego chłopa żądzy ziemi i pojmowania jej, jako większą wartość przedstawiającą, aniżeli gotowizna, aniżeli wykształcenie i zawodowe przygotowanie.

Ziemia w oczach chłopa nie równoważy się z pieniędzmi, określającymi jej wartość. Ziemię, materjalną niby podstawę swego bytu, przeobraża on

*) Dr. Buzek Józef. Historja polityki narodowościowej rządu pruskiego. Lwów 1909. str. 271 — 370. Stosunek ten dziś się zmienił (przyp. red.).

w duszy swojej w coś psychicznie bezcennego, w coś, co jest podstawą, źródłem jego godności osobistej, jego samopoczucia, jego wiary w niezniszczalność swoich wysiłków.

Chłop jest arystokratą. Źródła i objawy jego arystokratyzmu są te same, co arystokratyzmu naszych obszarników szlacheckich. Są nimi: 1) poczucie swojej wyższości od tych, co ziemi nie posiadają. Dowodem — lekceważenie „ciarachów" miejskich, choćby nimi byli lekarze, adwokaci, lekceważenie rzemieślników i tych sąsiadów swoich, co z wyrobku żyją. Dobitnie daje się to uczuwać szczególnie w stosunku do chłopów bezrolnych albo małorolnych, do wyrobników, komorników; antagonizm wzajemny, brak stosunków „towarzyskich", niechęć i pogarda do rodzinnych „mezaljansów"—są zjawiskami zwykłymi. Powtóre — rodowa duma: „gospodarz jestem z gospodarza", lekceważenie wiejskich „dorobkiewiczów", co dopiero w ostatnim pokoleniu osiedli na własnym kawałku gruntu. Wreszcie: silne poczucie godności „gospodarskiej", i pewność siebie, płynące z posiadania ziemi, odziedziczonej po przodkach, własności, którą ogień nie zniszczy, woda rzadko zabierze, żadna siła ludzka na prawie oparta nie wydrze. „Grunt mój nie szeroki, nie długi, ale za to głęboki aż do środka ziemi"...

Ten arystokratyzm chłopski nie jest tylko arystokratyzmem materjalnym, „burżuazyjnym", że się tak wyrażę. Kto lekceważy jego psychiczne własności, ten go nie pojmuje. Podstawa jego — ziemia — nie jest dla chłopa tylko materją. On ją uduchowił, uświęcił wielkim, żywiołowym ukochaniem, sprzągł z nią wszystkie ścięgna duszy swojej. I to ukochanie ziemi jest, nawiasem dodam, cechą psychiki nie tylko wyłącznie chłopskiej. U tych inteligentów naszych, którzy nie całkiem przeobrazili duszę swoją na gruncie miejskim, jest także dziwna, tajemnicza tęsknota do ziemi, własnego kawałka gruntu. Popławski dziennikarz i polityk, całe życie marzy o posiadaniu na starość małej płachetki ziemi polskiej. Bo dusza polska jest tej ziemi sakramentem jakimś poślubiona. Bez związku z nią, choćby psychicznego, paczy się, wykrzywia, zatraca świeżość i siłę instynktu polskiego.

Atoli zespolenie z ziemią rozpaliło w duszy chłopskiej nie tylko żagiew miłości i pożądania. Ze związku tego wypłynęła cechująca chłopski umysł trzeźwość, jasność, praktyczność w myśleniu. Praca na roli, jak wogóle każda praca materjalna na duszy odciska piętno swoiste. Człowiek zmuszony ustawicznie przezwyciężać bezwładność materji, przekształcać ją, w celu wytwarzania wartości pożądanych, siłą konieczności zdobywa umiejętność patrzenia na rzeczywistość, praktyczność myślenia i trzeźwość w ocenie zjawisk życiowych. Należą do wyjątków ci, co operując w życie materją, myślą nie—realnie. Muszą poddać się specjalnej „kuracji" doktrynerskiej, aby zatracić jasność i trzeźwość myślenia. Tak jest np. z warstwą naszą robotniczą, której metodę myślenia wypaczyło wychowanie socjalistyczne. Chłop nasz, szczególnie posiadacz większych kawałków gruntu, jest dotychczas terenem bardzo niepodatnym pod zasiew idei doktrynerskich, jakiejkolwiek barwy. Przykładów na to mamy mnóstwo. Wskażę bardzo jaskrawy:

W latach rewolucyjnych szerzono pomiędzy ludem ideę wywłaszczenia obszarników. Zdawało by się, że chłop, który gotów jest zaprzedać się za kawałek ziemi, powinien ją gorąco przyjąć i poprzeć. Tymczasem propagandę ową spotkało fatalne i na całej linji niepowodzenie. Chłop poprostu obliczył sobie,

że ziemi obszarników nie wystarczy na obdzielenie wszystkich, że gdy jedna gmina mogłaby zadowolić swej „głód“ ziemi, druga wskutek nieposiadania, a przynajmniej posiadania mniej licznych na swoim terytorjum obszarów dworskich, byłaby pokrzywdzona, protestowałaby i podział nie doszedłby do skutku. Następnie czuł on instyktownie, że idea wywłaszczenia, ponętna skądinąd, nosi w sobie zarodek niebezpieczeństwa dla siebie samego. Zniósłszy w jednym wypadku święte dlań prawo własności, burzy się jego moc i trwałość, i kto wie, czy wobec ustawicznie wzrastających zastępów proletarjatu miejskiego i antagonizmu mało-rolnych, nie przyszłaby później kolej na wywłaszczenie chłopskiej, gospodarskiej własności, a nawet może jej upaństwowienie? Cała jego dusza wzdrygała się wobec takiej perspektywy. I dlatego idea wywłaszczenia upadła.

Wogóle, zasadniczo biorąc, chłop, jako posiadacz ziemi, czuł i czuje, że w interesie jego leży trwałość raz ustanowionego porządku społecznego, jego stopniowy rozwój, nie zaś raptowny przewrót, przynoszący zyski niepewne, jeżeli nie straty. I dlatego w owym rewolucyjnym okresie stanął po stronie obszarników, z którymi wiązała go wspólność interesu: obrona prawa własności.

Weźmy drugi przykład — bardzo świeży. Sprawę nauczania powszechnego. Przeciwników rozwiązania tej sprawy przy pomocy zasiłków skarbowych i szkół rządowych spotykał i spotyka ustawicznie, naogół biorąc, — zawód. Gminy uchwalają nauczanie powszechne. Tylko bardzo biedne gminy z mało rozwiniętą kulturą rolniczą, dla których powiększenie podatku szkolnego stanowi znaczną różnicę, jak to stwierdził na terenie gub. Płockiej p. H. Wąsowicz, albo też gminy, z ludnością najczęściej drobno-szlachecką, w których nauczanie domowe bardzo się rozwinęło, opierają się wprowadzeniu nauczania powszechnego. Chłop naogół stoi na stanowisku praktycznym: brać, jeżeli dają. Zna on kosztowność szkół prywatnych i taniość szkół rządowych, otwieranych na zasadzie nowego prawa. Rusyfikacji się nie obawia, bo pomijając inne względy, nawet trzyletnia służba wojskowa w głębiach Rosji go nie rusyfikuje. Więc też uchwala nauczanie powszechne, pomimo agitacji przeciwników i gorących odezw do jego patryotyzmu.

Z faktu, że chłop jest właścicielem ziemi, z którą materjalnie duchowo związany jest na śmierć i życie, wypływa jeszcze jedna właściwość duszy chłopskiej — konserwatyzm. Przejawia się on w silnym poczuciu prawa i ładu społecznego, zapewniającego dzisiaj chłopu w mniejszym lub większym stopniu trwałość i owocność jego wysiłków materjalnych, obronę jego praw do swobodnego rozporządzania sobą i swoją własnością, normalny rozwój jego potrzeb. Lud jest warstwą, na którą czynniki rozstroju i wywrotu liczyć nie mogą. I nie liczą już dzisiaj. Natomiast wszyscy, których zastanawia brak w psychice naszej poczucia i poszanowania prawa, zrozumiały zresztą u nas, a jednak zagrażający nam niezdolnością do życia państwowego,—muszą z zadowoleniem stwierdzać i umacniać ów objaw konserwatyzmu chłopskiego.

Drugim objawem, potwierdzającym istnienie w duszy chłopa konserwatyzmu jest jego nadzwyczajne poczucie hierarchji i karności społecznej. Rodowód tego poczucia jest niedość jasny. Radykalni demokraci utrzymują, że pochodzi on z czasów pańszczyźnianych, z długowiekowej niewoli u szlachty i duchowieństwa, które go specjalnie wychowywały w swym poczuciu,

dla celów egoistycznych. Moim zdaniem, płynie on przedewszystkiem ze wzmiankowanego wyżej poczucia ładu społecznego, które chłop zdobył nie dzięki niewoli, ale dzięki swoim właściwościom psychicznym, wytworzonym przez zespolenie z ziemią, z pracą na roli. Chłop—ziemianin czuł i czuje zawsze zależność swego bytu z jednej strony od czynników natury, a z drugiej, od tego układu społecznego, w którym żyć musi. Układ ten, jakikolwiek był w Polsce, dobry czy zły, zapewniał mu zawsze minimum dobrobytu i opieki prawa. A umysł chłopski nie lekceważy żadnej drobnostki, a tym bardziej tego „minimum“. Zanadto jest trzeźwy i praktyczny. Zawdzięcza te cechy — czemu? Pracy na roli. I tak więc wróciliśmy ponownie do głównego źródła psychiki chłopskiej — ziemi.

Atoli konserwatyzm chłopski posiada i strony ujemne: nieruchliwość, niechęć i nieufność do cywilizacyjnych zdobyczy, poszanowanie szkodliwych, tradycyjnych poglądów, pewien uparty bezwład tam, gdzie nie chodzi o zdobywanie ziemi. Źródłem tych wad jest, moim zdaniem, wyłącznie długowiekowe odosobnienie ludu od szerszego życia społecznego i narodowego. Przecież chłop nie jest ciemięgą! Posiada on w swoim charakterze znaną chłopską energię, przedsiębiorczość, stanowczość, wytrwałość i upór w raz powziętym planie. Wyładowywał on je dotychczas na terenie bardzo wązkim, w sprawach bardzo drobnych, ale wprowadzony w czynne życie społeczne, oświecony przytym, energię swoją rozwinie i na innych polach, pozbywając się tym samym owych ujemnych cech swego konserwatyzmu. Dowody tego posiadamy — żywe. Załuskowie, Nakonieczni, Rządowie, — dzieci ludu — zachowując wszystkie istotne cechy psychiki chłopskiej i zdrowego konserwatyzmu chłopskiego, są dziś pionierami pracy społecznej i narodowej!

Nie można wszakże zamknąć oczu na to, że silne zespolenie chłopa z ziemią, walka o dobrobyt wytworzyły w nim cechę stanowczo ujemną — pewien materjalizm życiowy. Liczyć się z nim muszą ci, którzy wśród ludu pracują lub pracować chcą, ale go miarkować, zwalczać do pewnego stopnia, jest koniecznością.

Życie społeczne, a tymbardziej narodowe, wymaga wyrobienia poczucia obywatelskiego, poczucia zmysłu społecznego, ofiarności. Chłop naogół tych zalet, nawiasem dodam, wytwarzających się jedynie w silnym życiu społecznym i narodowym, nie posiada. Rozwijać je trzeba, ale taką metodą, którąby psychiki chłopskiej, trzeźwej i praktycznej, nie skaziła. Ów „materjalizm“ chłopski jest przecież w znacznym stopniu podstawą naszej siły narodowej, podstawą naszej wiary w przyszłość, nie wyniszczać go więc, ale miarkować i kształcić należy. Jaką drogą? Pomijając na razie czynnik najważniejszy, o którym niżej: drogą wychowywania ludu w stowarzyszeniach społecznych, oświatą narodową, wystrzeganiem się metod, podsycających materjalizm chłopski, wystrzeganiem się wszelkiego rodzaju przekupstwa, choćby dla celów najidealniejszych, najwznioślejszych.

Mówiłem już w poprzednim artykule o jedynym rodzaju tego przekupstwa — kupowaniu ludu dla Polski. Demokraci z okresu lat 31 — 63 kupowali go obietnicami wolności, niezależności gospodarczej w Polsce niepodległej. Dziś najczęściej w celu wciągnięcia go do pracy społecznej kupuje się go obietnicami zysków doraźnych, a w celu zdobycia go dla idei powstania zbrojnego, po staremu — obietnicami zysków, mających popłynąć z posiadania

własnego państwa. Nie jest to metoda ani moralna, ani obywatelska, ani — polska. Tą drogą uspołecznienia, unarodowienia ludu się nie osiągnie, wytworzy się jedynie większy materjalizm u chłopa, który może wskutek nieprzewidzianej katastrofy obrócić się przeciwko nam, opóźnić nasz rozwój narodowy, konsolidację społeczną. Mieliśmy przykład tego w niedalekiej przeszłości. Rząd rosyjski, stłumiwszy ruch r. 63, przyjął program społeczny ówczesnych działaczy, który urzeczywistnić oni nie zdołali, przeprowadził go, zradykalizował nawet i zdobył to, czego oni zdobyć nie mogli. Metoda kupowania — to miecz obosieczny, w razie wygranej — osięga cel, a w razie przegranej — powiększa ciężar katastrofy. Odrzucić ją trzeba, jeśli nie chcemy pozostać wiecznymi sztubakami politycznymi, którzy niczego *od życia* nauczyć się nie umieją i nie chcą.

Drugim czynnikiem, który urabiał psychikę chłopską, jest chrystjanizm. Mówmy wyraźnie — katolicyzm. Oddziaływanie jego miało i ma charakter kulturalny. Dzięki religji chłop-barbarzyńca wyrobił swoją kulturę moralną, otrzymał pogląd na świat, tak jednolity, krzepki i zwarty, jaki dać może duszy pierwotnej tylko chrystjanizm.

Chłop nie jest zewnętrznie tylko religijny. Jeśliby duszę jego można było rozłupać, to przed oczy nasze buchnąłby płomień religijny, w którym chłop stapia wszystkie swoje doświadczenia życiowe i myśli o przyrodzie i ludziach w jedną harmonijną całość. Religja jest centralnym ogniskiem jego duszy, skupiającym wszystkie jego najbardziej ludzkie porywy, a jednocześnie rozrzucającym snopy światła na ścieżki jego żywota, jego myśli i wrażeń. Kto dostrzega tylko zewnętrzną stronę jego religijności, t. z. obrzędowości, a nie widzi przepojenia duszy chłopskiej światłem religijnym, ten istoty psychiki chłopskiej nie zna. Jak z ziemią, tak i z religją chłop jest skuty na wieki wieków. „Prawda“ warszawska wypowiedziała niedawno myśl pozornie głęboką i trafną: religji chłopu nikt i nic wydrzeć nie zdoła, bo jej korzenie tkwią nie w dogmatach, nie w przywiązaniu do Kościoła, ale w psychicznym stosunku chłopa do przyrody. Pomijając analizę tej myśli, zauważę, iż religja, będąc podwaliną duszy chłopskiej, jej czynnikiem konstrukcyjnym, może wszakże stracić swój prymat, swoje centralne stanowisko. Czemu?

Tylko ludzie prości, jednolici, do pewnego stopnia pierwotni umieją i mogą czerpać życie z źródeł najgłębszych życia. Ludzie bardzo wyrafinowani duchowo, wielostronny pokarm dla duszy czerpią raczej ze źródeł wtórnych, podrzędnych, jak nauka, sztuka, życie społeczne i t. p., gubiąc z biegiem czasu ścieżkę do głębi duszy, do jej istotnych źródeł. Jest to zło cywilizacji, zło, które zwalczać należy, ale którego trudno zaprzeczyć. Chłop posiada cywilizację pierwotną. Jeżeli rozwój jej potoczy się tąż samą drogą, co nasza, europejska, zagrażać mu także będzie oddalenie się od źródel duszy swojej. Na szczęście, chłop nasz dzisiejszy, posiada zdrowy „żołądek“ duchowy i chłonąc cywilizacyjne zdobycze, przetrawia je, przerabia, asymiluje, czyniąc je swoją nie tylko zewnętrzną, ale i moralną własnością, wciągając je w obręb swojej kultury duchowej, która równocześnie z tym rozrasta się i rozszerza, nie tracąc związku ze swymi psychicznymi podstawami. Jak długo ów „żołądek“ duchowy chłopa działać będzie normalnie — nie wiemy. Ale niebezpieczeństwo popsucia go — istnieje.

Po drugie — religja chłopa nie jest naturalną w ścisłym tego słowa

znaczeniu. Zawdzięcza on ją długiej pracy apostołów chrystyanizmu. Apostołowie więc fałszu dzięki swej propagandzie mogą zmienić jej stanowisko w duszy chłopskiej, mogą pozbawić ją jej znaczenia i wpływów. Będzie to ruiną psychiki chłopskiej, rewolucją wewnętrzną o dziejowym znaczeniu, oderwaniem chłopa od gruntu, na którem wyrosła jego potęga duchowa. Ale stać się to może. Oczywiście nie w ciągu lat kilku, ani kilkunastu. Co wieki zbudowały w duszy, to wieki tylko zburzyć mogą.

Oddziaływanie religji na chłopa, powiedziałem, ma charakter kulturalny. Zagadką musi pozostać dla tych, którzy ów charakter negują, zdolność chłopa do życia społecznego, karność społeczna, której daje dowody w ostatnich latach. Nie udział w życiu społecznym wyrobił te cechy w psychice chłopskiej. Nie było go dotychczas. Stworzyła je religja. Kształci ona zmysł społeczny, zdolność ofiary, poświęcenia, wyrabia idealizm, tak niezbędny, jako motor psychiczny, do życia gromadnego. W religji znajduje się olbrzymie źródło sił i zdolności społecznych naszego ludu. Religja też głównie może miarkować ów wyżej wzmiankowany materjalizm chłopski. Ona uskrzydla duszę chłopską, nie tylko nie odrywając jej od rzeczywistości, ale specjalnie wychowując i uzbrajając do walki życiowej.

Religja również wpłynęła na wytworzenie się silnej chłopskiej rodziny, obyczaju rodzinnego. Nam w Polsce zagraża niebezpieczeństwo dezorganizacji życia rodzinnego, owego ogniska wychowawczego, od którego siły i psychiki zależy w znacznym stopniu siła i rozwój normalny społeczeństwa. Co wpływa na tę dezorganizację, nie miejsce o tym mówić. Ale należy podkreślić ścisłą zależność życia rodzinnego od religji: stawiając cel dla ustroju rodzinnego, religja owiewa go idealizmem, wzmacnia zasadami.

Związek chłopa z religją ma prócz tego doniosłość — narodową. Większą może, niż zespolenie duszy chłopskiej z ziemią, które jest bezimienne, kosmopolityczne do pewnego stopnia. Chłop, oczywiście z konieczności, wszędzie pójdzie, byle ziemię posiąść. Nie zostawi na ziemi polskiej ani odrobiny duszy swojej, nawet tęsknoty nie uczuje. Chyba, że mu bieda dokuczy. Na podstawie licznych listów chłopskich i rozmów z emigrantami śmiem twierdzić, że Konopnicka źle przedstawiła stosunek chłopa do ziemi — podkreślam —*polskiej.* Jeżeli zdarzają się wypadki odmienne, to tylko wtedy, gdy chłop już tutaj, w Polsce, czuł się związanym z Polską. Dotychczas, naogół, tak nie jest. Związek z religją jest silniejszy, niż z czymkolwiek innym. I dlatego religja ma w naszych warunkach doniosłość narodową. Ona, kształtując duszę chłopską, budząc w niej idealizm, zmysł społeczny, ułatwia i przygotowuje grunt do związania jej z ziemią, nie jako taką, ale polską ze społeczeństwem i narodem własnym. Komu religja przypięła skrzydła u ramion, z barbarzyńcy, materjalisty wykuła człowieka w pełnym tego słowa znaczeniu, budząc w nim życie duchowe i instynkty zbiorowe, w tym łatwiej zabrzmi echo ziemi ojczystej, zadźwięczą bóle i tęsknoty swojego narodu.

Zbyt rozszerzające się łamy rozdziału o duszy chłopskiej zmuszają mnie, pominąwszy dalszą analizę jej konstrukcji, przejść wreszcie do odpowiedzi na zagadnienie, postawione przez Wasilewskiego. A przedtym kilka myśli jego o układzie psychicznym polskiego chłopa*).

*) Prawo swoistości. Przegl. Nar. 1914 № I.

„W społeczeństwie odbywa się naturalny proces równania poziomów kultury i cywilizacji: Dzieje się to w ten sposób, że sfery nie mające swojej cywilizacji, dociągają się duchowo do wyższych poziomów cywilizacji, aby ją uczynić swoją także własnością i dalej ją wespół z dziedzicami dawnej cywilizacji tworzyć. ...W ruchu demokratycznym widzieć należy dwa motywy: 1) pierwszy motyw — to ten, który się uwidocznia w przemianach zewnętrznych, w zdobyczach mas na cywilizacji czynionych (strona niejako mechaniczna), w t. z. demokratyzacji dóbr i 2) drugi motyw — to podnoszenie się kultury mas, nobilitowanie ich wewnętrzne, aby odpowiadały kwalifikacjami zadaniu dalszej twórczości, wpadały w tok dziejów, aby istotnie czuły się „wolnymi w duchu", jak mówił Mickiewicz — panami. ...Chłop miał swoją własną cywilizację i odpowiadającą jej ściśle kulturę nowożytną. Typ jednolity, nie dający się porównać z żadnym typem formacji wyższych w społeczeństwie. Po czym to poznać? Po tym, że wszystko, co jest w środowisku chłopskim psychicznego, odszukać można w każdej jednostce jako jej własność. Każdy jest skarbnicą całej cywilizacji ludowej danego środowiska zbiorowego... Zupełna odpowiedniość poziomów kultury i cywilizacji, oraz organiczne zespolenie duszy ze środowiskiem, tak mocne, że aż wywołujące zgorszenie u tych, którzy nie żyją duchowo w takiej zależności od środowiska cywilizacji. ...Poziom jest nizki. Ale ten stosunek między duszą a cywilizacją swoistą uważać należy za idealny. Gdyby się dało przez równomierne podnoszenie poziomów: z jednej strony przez kulturę oświatową, z drugiej przez poprawienie warunków zewnętrznych, społecznych i materjalnych— doprowadzić tę cywilizację chłopską bez wstrząśnień do wyżyn szczytowych, byłaby to idealna droga rozwoju"...

Po przytoczeniu tej myśli stanęliśmy u kresu rozważań nad duszą chłopską. Stoi teraz ona przed nami w całej swej krasie i sile: polem i borem pachnąca, promieniami religji prześwietlona i ukształcona, jednolita i krzepka, jędrna i zdrowa. A nadewszystko nam, inteligentom, najbardziej potrzebna. Czym jest nasza dusza w porównaniu z nią? Blada i anemiczna, bez żywiołowych instynktów i popędów, utkana z marzeń i abstrakcji, bez silnego gruntu pod nogami, przez okulary doktryn lub rojeń poetycznych na rzeczywistość patrząca, nie—realna, nie—praktyczna, nie—zdobywcza, nie—zaborcza i dlatego nie — zwycięska!

Nadeszła chwila, odczuwa ją dziś ogół myślący, urzeczywistnienia myśli Mickiewicza, który wołał o ujednostajnienie, o nowy syntetyczny typ duszy obywatelskiej. Jaką drogą?

Dla przebudowy duszy polskiej potrzeba znać i mieć środki i model — wzór. Znamy i mamy je. Środki, to naprzód — odrzucenie wpływów obcych, energiczna z nimi walka. A potym nacjonalizacja duszy naszej przez powrót do jej źródeł, ziemi i religii. A więc — przez zanurzenie się w otaczającej nas rzeczywistości. Przez specjalną kulturę trzeźwości i realizmu w myśleniu. Przez rozbudzanie żywiołowości w działaniu. I wreszcie — przez religijność żywą, pulsującą, praktyczną i szeroką. A model — wzór? Dusza chłopska.

Stefan Olszewski.

W obronie polskości miast.

Śladami Warszawy, Kraków rozpoczyna walkę o polskość miasta, smutne cyfry statystyki zażydzenia miasta rosnące z każdym rokiem, zależność od panoszącego się żywiołu, musiała wywołać odruch samoobrony, musiała wytworzyć organizację, której celem i zadaniem jest praca nad zapewnieniem narodowi naszemu praw gospodarza na własnej ziemi. Kooperatywy wiejskie i rosnąca ich sprawność wraz z kasami Reifeisena wypierają systematycznie Żyda ze wsi, kładą kres lichwie. Niknie na polskiej wsi w Galicji typ pachciarza, nieodłącznego dotychczas adjutanta każdego dworu, gdyż spółki mleczarskie nowego typu uchylają to pośrednictwo, uchodzi też ze wsi żydowski kramarz wyparty przez Kółka rolnicze, agent w sprzedaży nawozów sztucznych, a w wielu także wsiach zachodniej części kraju żydowski szynkarz, gdyż i ta najsmutniejsza gałęź zarobkowania często usuwa się z rąk żydostwa, które za swój monopol uważało sprzedaż wódki ludności wiejskiej

Te wszystkie czynniki gospodarcze, które zapisać należy na dobro w naszym bilansie gospodarczym, powodują emigrację żydostwa do miasteczek i miast galicyjskich. Jak pouczają nas dotychczas otrzymane cyfry ankiety, urządzonej przez „Słowo Polskie", która bardzo doniosłe będzie miała znaczenie dla ekonomistów, czynnikiem rządzącym w miastach są Żydzi, przemysł i handel w ich znajduje się rękach, a wpływ ich wzmaga się podniecany napływową ludnością żydowską, uchodzącą ze wsi. Centra miast i miasteczek i główne arterje handlowe są w ich posiadaniu, a małomiejski mieszczanin, rolnik lub rękodzielnik posiłkujący się rolnictwem zajmuje tyły ulic, wypierany systematycznie poza obręb handlowy miast.

W większych miastach żydostwo, chcąc zapewnić sobie możność opanowania dla handlu pryncypalnych ulic, wykupuje całe handlowe dzielnice miast i z tą chwilą staje się czynnikiem decydującym w polityce miejskiej. W Krakowie opanowało wszystkie kurje wyborcze do rady miejskiej z wyjątkiem kurji inteligencji, w której dotychczas nie zdobyło jeszcze przewagi, a dzięki rządom panującej kliki, wciska się i tam żydostwo reprezentowane przez 1700 szynkarzy i przedsiębiorców, z kurją inteligencji nie mających nic wspólnego. W innych kurjach mają Żydzi głos decydujący i nie chcąc narazić się całemu społeczeństwu wyborem większości reprezentacji żydowskiej, odpowiadającej zdobytym ich wpływom, dzieli się rządami w mieście ze wskazanymi przez siebie osobami, będącymi powolnym narzędziem w ich ręku. Dlatego wśród członków rady miejskiej niema opozycji, jedynym opozycyonistą jest ks. kanonik dr. Caputa, którego syzyfową pracę podziwiać należy.

Na niektóre okręgi wyborcze miast i miasteczek decydujący głos mają kahały. Mamy posłów pochodzących z wyboru pięciu kahałów, gdzie ich wpływy wystarczają zupełnie w oddaniu mandatów bez jakiejkolwiek pomocy chrześcijańskich głosów. Wślad za dyktaturą żydowską w polityce miejskiej wchodzi w grę opanowanie instytucji finansowych i decydujący głos w udzielaniu

kredytu, a tym samym zupełne uzależnienie polskiego przemysłowca i kupca od Żydów. W ich rękach znajdują się Izby handlowe i przemysłowe z obszernymi prerogatywami na życie gospodarcze. Żydowskie biura informacyjne udzielają opinji o naszych kupcach i przemysłowcach, a tym samym decydują o wysokości kredytu towarowego i wekslowego. Dlatego polski kupiec i przewysłowiec stroni z daleka od każdej akcji, która mogłaby mu na przyszłość odjąć narzucone na niego więzy. Chętnie słyszy coraz bardziej rozbrzmiewające hasło „Swój do swego“, lecz stroni trwożliwie od tych, którzy ośmielają się je głosić. Ci uchodzą w jego oczach za bohaterów z bajki, lecz faktycznie przeciwko nim zwrócone są wszystkie ostrza rządzącego systemu żydowskiego w Galicji. Wpływ żydów jest faktycznie olbrzymi, opanowana przez nich prasa austryjacka nadsłuchuje, czy nie znajdzie pozorów do obrony żydostwa, wytacza przeciw śmiałkom cały arsenał wojenny pozostający w ich ręku a sfery miarodajne rządowe, zawsze przechylają się na stronę kapitalistycznie silniejszą, ofiarowującą środki finansowe do dyspozycji państwa, gdy ono znajdzie się w potrzebie. Każdy żywszy artykuł w prasie, podnoszący agresywność żydowską, w formie więcej stanowczej spotkać się musi z ołówkiem prokuratoria lub policji, otaczających szczególną swą opieką wybrany naród.

W takich miłych warunkach żyje społeczeństwo nasze, patrząc ze spokojem na kurczący się polski stan posiadania. Każdy odruch samoobrony, chrzczono tu mianem zacofania, a ton postępowości porywający młodzież pochodził od organizacji i prasy pozostającej pod dyktaturą żydostwa. Ono też uważało się za jedynie powołane do otwierania „szerokich horyzontów kultury zachodu“, dla niego polskość i szczera myśl narodowa była chorobą, z której leczono skrupulatnie młodszą latorośl narodu. Pan Wilhelm Feldman odebrał w pacht literaturę współczesną polską, pięć jej nakładów świadczyło o długiej hypnozie, w jakiej nas pogrążono, a poczytność jego „Krytyki“ świadczy przecież, że choć niewielka przestrzeń dzieli nas od Warszawy, to jednak słupy graniczne stwarzają dostateczną zaporę przed wtargnięciem zdrowszej niż u nas atmosfery.

Pomimo zabiegów nad utrudnianiem przeniesienia się hasła „swój do swego“ na galicyjski teren, ono przedostaje się za granicę, porywa jednostki, wiąże je i spaja, znajdując coraz szersze koła wyznawców, widzących w urzeczywistnieniu go jedyny ratunek, jaki nam pozostaje. Odczuwać się daje potrzeba ekonomicznego uświadomienia społeczeństwa a nawet inteligencji miejskiej przez przyzwyczajanie jej do odczytywania groźnych cyfr wywłaszczenia, świadczących o naszym upadku a wzroście sił i energji żywiołu wypierającego nas i budującego na naszych ruinach byt samodzielny. Wielkie zasługi na tym polu oddał krakowski „Głos Narodu“, który, podając cyfry wywłaszczenia poszczególnych zawodów i realności miejskiej wzywał ciągle do samoobrony, wskazując na przejawy budzącego się uświadomienia ekonomicznego w Królestwie, na rozpoczętą tam akcję bojkotową, która musiała wytworzyć również akcję pozytywną i jako taka daje nam nadzieje zmian smutnego naszego położenia.

Na tym podłożu powstaje w Krakowie organizacja „Ligi dla spolszczenia miast“, która po zatwierdzeniu jej statutu spotkała się zaraz z akordem oszczerstw i zniewag ciskanych obficie z łamów będącej na usługach żydostwa prasy. Jeden z posłów polskich, zaszczycony mandatem żydowskim, dla przypodobania się swym protektorom z Kazimierza i Stradomia nazwał ją „Ligą spodlenia miast“, twierdząc, „że nie żyjemy w Rosji, gdzieby podobna organi-

zacja mogła spełniać swe zadanie". Nie było oprócz „Głosu Narodu" organu, któryby wziął ją w obronę, w ciężkich zatym bardzo warunkach rozpoczęła swe istnienie.

Odezwę Ligi za przykładem prasy warszawskiej i poznańskiej powtórzyły tylko cztery dzienniki galicyjskie, z tych zaś dwa po usunięciu zwrotów mówiących o kwestji żydowskiej i kilku cyfr, które świadczyły o konieczności założenia tej organizacji. Pomimo tego Liga zdołała zdobyć znaczną ilość członków, a przeszło ośmset osób w Krakowie ośmieliło się podpisać rozesłaną prasie polskiej wszystkich dzielnic odezwę. — Jak w każdej narodowej i szlachetnej sprawie, duchowieństwo polskie stanęło do apelu, przyłączyli się też ci, którzy we wszystkich narodowych sprawach biorą żywy udział, tak że obecnie Liga kojarzy już wszystkie te stronictwa narodowe, które nie obawiają się ataków żydowskich i nie idą ślepo za ich rozkazami.

Wolna od waśni politycznych, przeszkadzających w pracy do spełnienia zakreślonego przez statut działania, idzie za wskazaniami, które obejmując całokształt pracy, mogą jedynie miasta nasze uratować dla polskości, opierając ją na silnym w przyszłości polskim stanie średnim. Rozpoczynając swą akcję, pobudziła do żywszej czynności dwie organizacje tutejsze, Straż polską, która z obawy wyłaniającej się konkurencji żywiej zaczęła się zajmować sprawą ekonomicznego odrodzenia, również i tutejsze Towarzystwo pomocy przemysłowej. Hasłem „Ligi dla spolszczenia miast" — jest zastąpienie pracy nad tworzeniem „krajowego przemysłu" praca nad tworzeniem „polskiego przemysłu". W terminologji tej zachodzi bowiem wielka różnica. Okazało się, że wysiłki nad tworzeniem krajowego przemysłu i jego obrony przyniosły bardzo niepożądane owoce, bo w cieplarni ogrzewanej polskim opałem, urosły rośliny obcego pochodzenia, które niczym nie przysłużyły się dla naszego życia gospodarczego, a podnieciły tylko sprawność obcych żywiołów. Te przy pomocy nowych środków kuły przeciw nam broń... Pod osłoną „przemysłu krajowego" zagarnęli Prusacy nasze zagłębia węglowe i wytworzyli w nich szereg fabryk, pod jego też osłoną wzmożono działalność Banku przemysłowego, który zespolony z Nieder Oesterreichische Escompte Gesellschaft stać się musiał wykonawcą woli przedstawicieli wied. kartelu żelaznego i plantatorem obcej przedsiębiorczości i kapitałów w naszym kraju.

Czynem tym zwichnięto naturalny polski rozwój gospodarczy i przy pomocy sześciomiljonowej bezprocentowej pożyczki krajowej wzmożono agresywność obcych wpływów, które bez pomocy i zachęty zagarniają wszelkie warunki naszego rozwoju gospodarczego na przyszłość.

„Liga dla spolszczenia miast" ma zatym przed sobą wielkie zadanie, musi wytężyć wzrok i słuch na wszelkie zabójcze ciosy, które zadaje i zadać pragnie chciwa ręka obca, przy pomocy mas żydostwa, depcząca polskość naszych miast. Obowiązkiem jej jest uświadomienie konsumentów, przygotowanie ich do spełnienia poważnych ekonomicznych zadań, badanie naszych braków, które uzupełniać musimy, śledzenie poszczególnych wypadków, przynoszących naszemu życiu gospodarczemu szkody i usuwanie ich z drogi, by nie tamowały nam pochodu ku zdobyciu samodzielności ekonomicznej.

Każda polska fabryka, każdy warsztat i handel polski — to ogniwa łańcucha, którego ciągłości i mocy powinniśmy strzec, a ustrzec je może uświadomiony polski spożywca. Odpowiedzialność jednak wielka ciąży na wytwórcy polskim

i pośredniku, który powinien ułatwić pracę nad podniesieniem i utrwaleniem polskiego stanu średniego. Nie powinni oni wyzyskiwać sytuacji wytworzonej spełnianiem hasła „Swój do swego", natomiast dostosować się powinni do cen konkurencyjnych i uzupełnić braki tych gałęzi handlu, których jeszcze nie posiadamy, a jakie kooperatywa wytworzyćby musiała.

W pielęgnowaniu, jak najszerszym poparciu polskich przedsiębiorstw i obronie ich przed zalewem obcej konkurencji leży utwierdzenie polskości naszych miast, bo tylko w tych warunkach wzrość może silny polski stan średni, który położy tamę obcej nawale.

Zaczynamy wyzwalać się od niemieckiej produkcyi, „*Neue Freie Presse*" uderza na alarm, ze znamienną wschodnią zaciętością napada na galicyjskie władze szkolne, które czyni odpowiedzialne za propagandę wśród młodzieży. Wzywa ministerjum oświaty do wydania ostrych zarządzeń, aby usunąć szkodliwe dla przemysłu niemieckiego następstwa.

Głęboko zakorzenionego uświadomienia samoobrony ekonomicznej, nie wyrwą żadne zarządzenia władz szkolnych, podniecą one tylko młodzież do dalszej na tym polu pracy i budzą nadzieję, że wychowane w tym duchu karne szeregi tysięcy polskich skautów, dokończą w niedalekiej przyszłości rozpoczęte wielkie dzieło zdobycia samodzielności gospodarczej.

Leżąca dawniej odłogiem praca nad młodzieżą rękodzielniczą, podjęta z wielką gorliwością, budzić zaczyna niepokój w obozie międzynarodówki, czemu dobitnie dał wyraz ostatni kongres socjalistyczny w Krakowie.

Dzięki sprężystemu kierownictwu, które ujął w swe ręce zacny kapłan O. Mieczysław Kuznowicz T. J. młoda latorośl polskiego rękodzielnictwa rośnie, rozwija się i wychowuje wśród zdrowych narodowych i religijnych prądów, dających rękojmię lepszej przyszłości.

Z uznaniem podnieść należy pracę w katolickich związkach robotniczych, którym z pomocą przyjdzie wyszkolone społecznie duchowieństwo a zapoczątkowane przez ks. biskupa Sapiehę kursy społeczne, którymi tak żywo zainteresowało się duchowieństwo i stworzenie stałego sekretarjatu dla spraw robotniczych świadczą, że praca ta ujęta w system wyda bujne owoce. Spodziewać się należy, że i praca na wsi pójdzie innym torem. Upadek Stapińskiego powinien położyć kres zabójczej demagogji, zapoczątkować pracę nad kulturalnym i ekonomicznym podniesieniem ludu i podniecić zdrowo zapoczątkowaną kooperatywę rolniczą. Zrozumienie doniosłości pracy organicznej i żywe podjęcie jej przez stronnictwa ludowe, stojące na narodowym gruncie, wytworzenie w pracy tej kontaktu pomiędzy wsią, plebanją i dworem, t. j. resztkami tych dworów, które jeszcze w polskich znajdują się rękach, wytworzyć mogą na wsi wielkie i zasadnicze zmiany, zdołają pchnąć pracę nad ludem i dla ludu na nowe tory i podnosząc jego dobrobyt usunąć smutne widmo masowej emigracji.

Budzimy się zatym do nowego życia, którego nie powinny zagłuszyć wołania puszczyków.

Uzupełnienie pracą gospodarczą—całokształtu pracy narodowej, musi napawać nas nadzieją lepszego jutra. Musi dać narodowi naszemu odporność, której brak dotkliwy powodował nasze cofanie się przed obcym zalewem, podmywającym i niszczącym podstawy naszego narodowego bytu.

Roman Woyczyński.
Kraków.

Autorytet a wolność osobista.

III.

W trzeciej i ostatniej części swej książki Förster porusza kwestję najważniejszą, ale też i najdrażliwszą zarazem: mówi o stosunku władzy kościelnej do osobistej wolności i o inicjatywie podwładnych jej jednostek.

Ta część dzieła Förstera nie u wszystkich krytyków znalazła jednakową ocenę, byli nawet i tacy, którzy wystąpili wprost przeciw autorowi, zarzucając mu brak bezstronności i protestanckie zapatrywanie na tę sprawę. Wobec tego przypomnieć należy, że Förster w pierwszej i drugiej części swej pracy dostatecznie chyba uzasadnił nieodzowną potrzebę autorytetu w rzeczach wiary, dlatego nie wolno nam posądzać go o jakąkolwiek dwulicowość pod tym względem.

Zaraz na wstępie trzeciej części swej książki F. mówi, że „autorytet Kościoła ubezpiecza każdego pojedyńczego człowieka wobec jego indywidualnej jednostronności i ciasnoty pojęć“ (str. 144—5). Jeżeli więc potym pozwala on sobie na pewną krytykę *postępowania* dzisiejszej władzy kościelnej, to nie oświadcza się on bynajmniej przeciwko danej zasadzie, ani też przeciwko autorytetowi kościelnemu jako takiemu. Oto, co przedewszystkim należy mieć na uwadze, chcąc należycie ocenić ostatnią część pracy Förstera,—trzeba wniknąć w jego intencje, a nie podsuwać mu zamiarów, których on wcale nie miał na myśli.

Wszak Förster rozdział ten rozpoczyna od krytyki dzisiejszych modernistów i dochodzi do ich zupełnego potępienia, mówiąc, że „Kościół miał zupełne prawo do wydania wyroku przeciw modernizmowi“ (str. 189). Dalej pisze, iż „zasadniczy błąd modernizmu na tym polega, że powszechne żądanie większej wolności od Kościoła tłumaczy on sobie w sposób całkiem *doczesny* i rozszerzenie widnokręgów Kościoła pojmuje, jako pogodzenie się Kościoła z pozornymi dobrami współczesnej kultury“,—co jest wprost niedopuszczalne wedle Förstera, gdyż „nie może tu być mowy o prostym pojednaniu Kościoła z współczesną kulturą“ (str. 190).

Czyż można wobec tego posądzać Förstera o nieżyczliwość dla Kościoła, lub przypisywać mu jakieś ukryte cele? Domaga się on wprawdzie pewnej reformy na polu kościelnym, ale dodaje zarazem, że „tego, co w życiu Kościoła potrzebuje reformy, nie można sądzić ze stanowiska „ducha współczesnego“, lecz tylko z prastarego ducha samego Kościoła“. (str. 192).

Co więcej występuje on przeciwko podnoszonym wielokrotnie przez akatolików zarzutom, że stopniowa centralizacja władzy papieskiej od czasu soboru Watykańskiego przeszkadza do zachowania ducha Kościoła i jego rozwoju; Förster odrzuca dążenia do ograniczenia lub rozdzielenia władzy papieskiej.

„Tam, gdzie idzie o podwaliny życia religijnego i etycznego, konstytu-

cyjne rozdzielenie odpowiedzialności musi doprowadzić do rozdrobnienia jedności Kościoła, a z czasem i do rozprzężenia prawdy chrześcijańskiej", pisze on na str. 147.

Wszystko to dostatecznie chyba wyjaśnia stanowisko Förstera i jego zapatrywania na autorytet kościelny.

Uznaje on władzę papieża jako niezbędny warunek istnienia Kościoła i najlepszą gwarancję wolności chrześcijan — katolików, ale dlatego właśnie, że władza ta dziś pod względem moralnym doszła do swej apoteozy, domaga się on większej wolności dla katolików, bo inaczej nie będą oni mogli normalnie się rozwijać.

„Trzeba otwarcie powiedzieć",—mówi Förster—„że sposób, w jaki obecnie rozwija się życ e Kościoła, może doprowadzić do fatalnego w skutkach ograniczenia ducha uniwersalności". (str. 146).

Co rozumie on przez to, wyjaśniają dalsze słowa: „uniwersalność wymaga, ażeby uwzględnione zostały wszystkie istotne potrzeby dusz, zjednoczonych w Chrystusie i dana im (była) jaknajwiększa swoboda" (str. 152).

Tymczasem „zabiegi Kościoła" — mówi Förster — „około zabezpieczenia *ludzkich* warunków takich wszechstronnych i bezstronnych pojęć stają się coraz bardziej niedostateczne, mianowicie, niema istotnej gwarancji swobodnego wypowiedzenia się dla wszystkich żywiołów chrześcijańskich, zjednoczonych z Kościołem. Brak takiej gwarancji musi w rezultacie doprowadzić do tego, że pewne przypadkowo rządzące grupy i kierunki, jednostronnie, lub — co gorzej—po denuncjatorsku informują sfery rządzące Kościoła z najrzeczywistszą dla niego szkodą... skutkiem czego grozi wprost Kościołowi niebezpieczeństwo biurokratycznego absolutyzmu" (str. 148).

Zwracam uwagę czytelnika, że autor nie twierdzi tu bynajmniej, aby w Kościele panował obecnie biurokratyczny absolutyzm, ale że *może* to kiedyś nastąpić, jeżeli warunki obecne się nie zmienią.

Otóż przyznać trzeba, że warunki dzisiejsze rzeczywiście są niepomyślne dla prawidłowego rozwoju Kościoła; położenie Kościoła, a przedewszystkim jego Głowy jest wprost opłakane. Papież jest więźniem Watykanu i nie przekracza jego murów, wskutek czego porozumiewanie się jego ze swą olbrzymią owczarnią jest utrudnione. Brak mu swobody ruchów a tym samym i swobodnego informowania się o rzeczywistym stanie i położeniu Kościoła: z konieczności przeto jest on zdany na łaskę swego otoczenia i tylko tak wyjątkowa indywidualność, jaką był Leon XIII, zdoła przedrzeć się duchem przez te więzy i ogarnąć, wyrozumieć świat cały.

W takich warunkach trudno o prawidłowy rozwój Kościoła i bardzo łatwo przyjść może do pewnej jednostronności w traktowaniu spraw tak różnorodnych i zawiłych, jakiemi są sprawy Kościoła powszechnego. Autor przyczynę tego upatruje jednak „nie w centralizacji władzy papieskiej, lecz w tym, że nie zauważono, jak bardzo potrzeba przeciwdziałać tej niezmiernej centralizacji współczesnego papiestwa, za pomocą rozszerzenia w tym samym stopniu zakresu wolności w wypowiadaniu swego zdania i swobody w objawach ducha". (str. 147).

Aby go zaś źle nie zrozumiano i nie posądzono o anarchiczne zakusy, dodaje zaraz, że „nie idzie tu o rozszerzenie współpanowania, lecz o zbudzenie do czynu wszystkich uśpionych w Kościele sił żywotnych".

„Wobec gorączkowej działalności, jaką rozwijają rozprzęgające siły współczesnej kultury, niezbędnie potrzeba, aby wszyscy ludzie religijni, mieli jak największą swobodę wspólnego działania, gwoli skutecznego przeciwstawienia złowrogim i niszczycielskim siłom pełnej treści wiary chrześcijańskiej". (str. 148).

Końcowe słowa są bardzo znamienne, bo wyjaśniają, że Försterowi nie chodzi bynajmniej o współudział jednostek we władzy kościelnej, ani też o przyznanie im wpływu na naukę Kościoła, ale o umożliwienie samoobrony przed uderzającym na nas zewsząd zepsuciem i niewiarą.

Nie jest to więc wdzieranie się do praw i przywilejów hierarchji Kościoła, ale jej obrona, nie atak na autorytet i zamach na władzę, ale mobilizacja wszystkich sił do walki z wrogami wolności i przeciwnikami Kościoła Chrystusowego. Czy z tego powodu można zrobić jaki zarzut Försterowi?

Któż z nas nie czuje zagrożonej pozycji Kościoła w obecnych czasach i potrzeby spieszenia mu z pomocą? Pod tym względem przeto Förster ma najzupełniejszą rację: trzeba umożliwić wszystkim ludziom „dobrej woli" udział w obronie zagrożonych pozycji Kościoła kat., trzeba pozwolić każdemu katolikowi stanąć w szeregach szermierzy za prawdę i wiarę Chrystusową, do tego zaś potrzeba większej swobody w wypowiadaniu się o tych sprawach.

Niema bowiem prawdziwego czynu i skutecznej pomocy tam, gdzie brak inicjatywy i gdzie wszyscy zachowują się biernie wobec najżywotniejszych kwestji religijnych, inicjatywa zaś tam tylko jest możliwa, gdzie panuje wolność słowa i gdzie każdemu wolno wypowiedzieć się swobodnie o zagrożonych pozycjach Kościoła.

Nie chodzi tu bynajmniej o wznowienie dysput religijnych, jakie były za czasów reformacji, bo nie o dogmaty tu chodzi i nie o zasady katolickie, ale o ich przystosowanie do potrzeb nowożytnego człowieka i codziennego życia katolików.

Wyjaśnię to na przykładzie. Cóż bardziej ustalonego nad katechizm Kościoła katolickiego, cóż przytym bardziej pożytecznego i niezbędnego dla katolika?

A jednak ten katechizm pod względem formy przedstawia wiele do życzenia, a metodą swoją nauczania tkwi jeszcze najzupełniej w XVI wieku, w którym powstał, dlatego też pod względem pedagogicznym domaga on się jak najrychlejszej reformy. Tymczasem do tej reformy przyjść nie może, bo ludziom brak swobody do szczerego wypowiedzenia się pod tym względem.

U nas identyfikują, niestety, dogmat z formą, w jaką przyoblekł on się przed wiekami, i bieda temu, kto poważyłby się krytykować formę dogmatu, lub sposób nauczania go w kościele. Najlżejsza nawet krytyka przestarzałej metody, lub niedość ścisłego wyrażania się kaznodziei, czy też pisarza kościelnego uważana jest za atak przeciw Kościołowi i budzi podejrzenie o herezję.

— „Wszystko — mówią — trzeba przyjąć w nauce Kościoła, albo wszystko odrzucić, wybierać nie wolno!" Owo *„wszystko"* to nie tylko dogmaty i zasady nauki Kościoła, bo to byłoby najzupełniej słuszne i uzasadnione wobec nieomylności papieża, ale to zarazem metoda i sposób nauczania, jaki ustalił się w czasie walki z protestantyzmem, a który dziś nie ma już zastosowania, choćby tylko dla tego, że jest przedewszystkim polemiczny.

Taka to alternatywa staje dziś przed wierzącym katolikiem i ona to za-

myka mu usta na swobodne wypowiedzenie się w rzeczach, tyczących wiary i nauki Kościoła.

Tymczasem, aby wejrzeć w głąb duszy nowoczesnego człowieka i poznać jego duchowe potrzeby, należy pozwolić mu mówić i odsłonić stan swej duszy, trzeba mu dać ujawnić swoje duchowe aspiracje.

W dzisiejszych czasach jest to znacznie utrudnione wskutek rozpowszechnionej wród nas nieufności i podejrzliwości wzajemnej, dlatego to księżom tak trudno poznać duszę nowożytnego człowieka, dlatego to wielu z nich przemawia dotąd z ambony językiem XVI lub XVII wieku, który śród dzisiejszych ludzi nie budzi zainteresowania ani zrozumienia.

Słusznie przeto Förster domaga się od apologietów dzisiejszych większego „zrozumienia potrzeb, udręczeń i nędzy współczesnego ducha" (str. 216) i żąda większej swobody omawiania potrzeb religijnych dzisiejszych czasów, powołując do tego wszystkich katolików dobrej woli. Zwraca on przytym uwagę, że w średnich wiekach panowała pod tym względem większa wolność i dodaje:

„Gdyby Kościół wrócił do tej uniwersalnej podstawowej zasady, wówczas wzmocniłby się w najwyższym stopniu autorytet całej instytucji". (Str. 149).

„Kościół"—pisze on „może swym wyznawcom pozostawić więcej swobody, niż jakikolwiek inny autorytet... Powinien on łączyć w sobie harmonijnie jak najsilniejszą koncentrację władzy, wszystko w sobie skupiającej i jednoczącej, z jak największą wolnością wszystkich sił twórczych i samodzielnych" (str. 154).

Po tym względem Förster ma zupełną rację i, gdyby poprzestał na tych uwagach, nic nie możnaby zarzucić jego argumentacji. Niestety, Förster posuwa się dalej i zaryzykował w książce swej zdanie, na które trudno zgodzić się katolikowi, a tymbardziej księdzu.

Twierdzi on mianowicie, że „skutkiem jednostronności i przesady w kontroli na całym życiu Kościoła cięży nieznośny poprostu a wypaczający charakter ucisk". (Str. 158). A dalej nieco pisze, że „zaufanie, jakie żywił ku niemu cały świat chrześcijański, jest obecnie zachwiane nawet w obrębie samego Kościoła u wielu poważnych ludzi, którzy może tego na zewnątrz nie okazują". (Str. 150).

Najlepszym dowodem, że twierdzenie to nie jest zgodne z prawdą, jest fakt, iż pomimo trudnych i niepomyślnych warunków, w jakich znajduje się obecnie nasz Kościół, coraz to nowi ludzie przechodzą do niego z przeciwnego obozu, głosząc światu całemu, że w nim tylko znajduje się prawda nieomylna.

Aby nie cytować wiele przykładów, ograniczę się do jednego. Nawrócony przed śmiercią na łono Kościoła katolickiego Stanisław Brzozowski, exsocjalista i zwolennik Marksa, tak pisze w swoim „Pamiętniku":

„Katolicyzm jest nieuchronny", bo „człowiek bez Kościoła jest niezrozumiałą zagadką. Życie ludzkie jest szyderstwem i igraszką, jeżeli Kościoła niema".

Förstera tłumaczy to chyba, że stojąc dotąd poza Kościołem, nie odczuwa on jeszcze na sobie tego dobroczynnego wpływu, jaki w Kościele katolickim spływa na każdą duszę, szukającą prawdy, spragnioną Boga i dążącą szczerze do wyzwolenia. Śród ciemności duchowych, jakie materjalizm wy-

tworzył w dzisiejszym świecie, Kościół podobny jest do latarni morskiej, która zrozpaczonym rozbitkom wskazuje, gdzie port zbawienia i jedyna przystań dla wątpiących.

Rozumiał to dobrze ks. Hecker, nawrócony z protestantyzmu na łono Kościoła katolickiego, który nie zawahał się nazwać go „bezpośredniem działaniem Pana Boga na ród ludzki i drogą do prawdziwego postępu".

Oto jego słowa: L'Eglise-c'est Dieu agissant directement sur la race humaine, la guidant à sa véritable destinée; c'est là la route de tout vrai progrès *).

Mówi on, że Kościół katolicki daje nam wzlot do Boga tysiąc razy pewniejszy, niż wszystko, o czym moglibyśmy zamarzyć.

„Autorytet Kościoła katolickiego,—pisze on—„przywraca nam utraconą wolność, wyzwala dusze nasze z wątpliwości i nadaje im taką siłę przekonań, jakiej próżnobyś szukał poza Kościołem".

„Jakkolwiek bowiem Duch Sw. oświeca bezpośrednio *każdego* człowieka i daje mu potrzebne natchnienia, nikt jednak nie ma absolutnej pewności, że nie myli się w swych przypuszczeniach i dlatego każdy z nas potrzebuje zewnętrznego sprawdzianu, jakim właśnie jest powaga Kościoła katol. Dopiero posłuszeństwo temu Kościołowi daje nam pewność, to też w nim z całą ufnością a zarazem z zupełną wolnością możemy dążyć do świętości **)".

Tego błogosławionego wpływu Kościoła katolickiego nie może należycie ocenić ten, kto stoi poza nim, dlatego Försterowi Kościół wydaje się taki bezwzględny i surowy, bo patrzy się on przedewszystkiem na jego organizację zewnętrzną, a niedocenia wewnętrznej.

Myli się również Förster, gdy dla wzmocnienia autorytetu Kościoła proponuje „powołać poważnych przedstawicieli mniejszości na wpływowe stanowiska" (str. 153), bo to jest wprost niedopuszczalne w Kościele wobec tego, że Zbawiciel nadał mu formę monarchiczną, nie zaś republikańską lub demokratyczną. Takie liczenie się z mniejszością i powoływanie do rządów jej przedstawicieli dobre jest w parlamencie, ale nie w Kościele.

Słuszną natomiast jest uwaga Förstera, że „Kościół musi mieć i „lewicę", właśnie dlatego, że jest katolickim" (str. 161), nie odnosi się to jednak do rządów Kościoła, bo te nie znają ani lewicy, ani prawicy, ale do jego członków. W Kościele, który jest powszechny, znajdzie się miejsce zarówno dla konserwatystów jak i dla ludzi postępowych, byle oni powolni byli władzy kościelnej i trzymali się zasad katolickich.

A teraz słówko jeszcze o tym, jak wedle Förstera należałoby ujmować kwestje religijne, aby one trafiały do przekonań dzisiejszych ludzi. Posłuchajmy najprzód samego autora:

„Nie mówię już rozwiązanie, ale choćby tylko właściwe *postawienie* problematu religijnego, wymaga od człowieka, który się chce nim zająć, nadzwyczajnego skoncentrowania wzystkich władz duszy na realnościach życia wewnętrznego" (str. 188).

„Zasadniczym warunkiem istotnego ożywienia ducha religijnego jest

---

*) *„L'Eglise et le Siécle"* par Pere Hecker.
**) Tamże, str. 35.

przedewszystkiem żywotniejsze tłumaczenie starej prawdy, wogóle *mniej intelektualizmu a więcej nieśmiertelnej duszy*". (Str. 198).

„...W wykształceniu religijnym muszą współdziałać *wszystkie* siły duszy, lecz dawne metody nauczania stoją w poprzek ich usiłowaniom". (Str. 209).

Jak widzimy z tych cytat Förster jest przeciwnikiem skrajnego intelektualizmu i domaga się uwzględnienia przy wykładzie religji całego człowieka, a przedewszystkim wewnętrznej jego strony. Dlatego to występuje on tak ostro przeciwko nauczaniu religji w oderwaniu od życia oraz przeciwko jednostronnemu ujmowaniu tych kwestji przez sam tylko umysł. „Jednostronny intelektualizm—pisze on—„odbiera klucz do poznania rzeczy duchowych wielu ludziom"... a „przewaga intelektualnego zapatrywania się na kwestje religijne jest wielkim niebezpieczeństwem dla rozwoju życia religijnego". (Str. 200).

Förster atakuje tu poniekąd panujący obecnie system nauczania religji w szkole i poza szkołą, który wzoruje się przedewszystkiem na scholastyce, a twierdzenie swoje uzasadnia w sposób następujący: „dowody wiary pouczają wprawdzie rozum, nie zdolne są jednak obudzić prawdziwie religijnego *życia*, które wszak powinnoby się znajdować w centrum duszpasterstwa i apostolstwa. Zbyt wiele miejsca ze względu na t. zw. „inteligencję" dano intelektualnemu, scholastycznemu pierwiastkowi, którego konieczności, jako pracy przygotowawczej dla duszpasterstwa, nikt zresztą nie będzie kwestjonował. Skutkiem tego, natury jednostronnie intelektualnie usposobione, jeszcze bardziej umocniły się w swym jednostronnym kierunku umysłowym, a wielu z nich okazało się wielce podatnym materyałem do rozprzęgającego wpływu współczesnego intelektualizmu". (Str. 201).

„Jak jednak mają się ukształtować religijne pojęcia i religijne wychowanie"—pyta się dalej Förster—„jeśli intelektualizm zostanie zredukowany do właściwej miary?" (Str. 203).

Czy może oprzeć się ma na uczuciu, jak tego domagają sią moderniśc Bynajmniej, równałoby się to bowiem odrzuceniu objawienia i podeptaniu zasad rozumu, na których opiera się wiara nasza jak na fundamencie.

Gdzie przeto szukać należy właściwej drogi do poznania Boga?

„Istnieje"—mówi Förster—„pewna wewnętrzna kontemplacja, równie daleka od wszelkiego nieokreślonego uczucia, jak od oderwanej tylko konstrukcji... istnieje wewnętrzne doświadczenie, wyższa świadomość, które są najprostszą drogą, prowadzącą do religijnego poznania. Jeżeli jest coś, coby mogło być określone jako najważniejszy warunek przedwstępny do zrozumienia religji, to jest nim właśnie owo *budzenie* się całej duszy. *Samopoznanie* jest najważniejszym środkiem do tego obudzenia sił naszej duszy".

„Zapewne współdziała przytym i umysł, ale wówczas nie zwraca się on do abstrakcyjnych dedukcji, lecz do konkretnego obserwowania rzeczywistego życia wkoło nas i w nas samych, do rozdwojenia naszej woli, do najgłębszych pobudek naszego postępowania, do przyczyn naszej samoułudy". (Str. 203).

I aby nie było najmniejszej wątpliwości o niedostateczności samego tylko rozumowania przy nauczaniu religji autor dodaje:

„Kontemplacja doprowadza do nieskończenie większej pewności i jasności, niż samo tylko rozumowanie; tak jak siła wypływająca z wiary posiada nieporównanie większą moc od wszystkiego, co się określa wyrazem „uczu-

cie". Zapewne, że chrystjanizm nie jest uczuciem, ale nie jest on również tylko rozumowaniem i abstrakcją, lecz wyższym światem kontemplacji i czynu. Pierwszym i najważniejszym żądaniem Chrystusa jest, aby budzić w sobie ducha, pogłębiać życie wewnętrzne... *Istotna* różnica między poznaniem w kwestjach religijnych, a poznaniem odnoszącym się do praw natury i rozumu objawia się w tym właśnie, że podczas gdy do tych ostatnich rozum nasz wystarcza, prawda religijna może właściwie być pojęta tylko za pomocą wewnętrznego doświadczenia, pogłębionej kontemplacji, uszlachetnienia woli, usunięcia zarozumiałości, przez odrodzenie naszej duchowej istoty. Wówczas dopiero, gdy wszystkie siły duszy naszej dorosły do kontemplacji, możemy poznać treść prawdy chrześcijańskiej; wtedy tylko stanie się ona naszą własnością, której nic nam wydrzeć nie zdoła, a *wtedy i umysł nasz znajdzie dla jej określenia najtrafniejszy i najpewniejszy wyraz*"... „Kto swego własnego stanu nie zna, dla tego też i Chrystus pozostanie martwą literą".

„Tylko wewnętrzne wniknięcie w siebie może zrodzić prawdziwe *pragnienie* Chrystusa i pełne zrozumienie Jego prawdy". (Str. 204—205).

Pozwoliłem sobie na te przydługie nieco cytaty, bo one pozwalają nam zrozumieć system autora i wniknąć w jego myśl przewodnią przy nauczaniu religji w szkole i poza szkołą. Pragnie on, aby do rzeczy przystępować *od wewnątrz*, a nie od zewnątrz, jak się to dziś często zdarza, pragnie, aby naukę religji poprzedzała i towarzyszyła jej ciągle praca wewnętrzna nad sobą i uświęceniem swej duszy.

Dlatego to domaga się on od wychowawców gruntownej znajomości natury ludzkiej i jej przeróżnych potrzeb oraz słabostek.

„Tylko za pomocą prawdziwie *realistycznego poznania natury ludzkiej* będziemy w stanie poznać właściwą drogę, na której osiąga się wpływ wychowawczy; tylko za pomocą zupełnie jasnego pojęcia o *najwyższym celu* wychowania wogóle, jesteśmy w stanie urabiać charaktery świadomie dążące do celu". (Str. 196).

„W całym *religijnym wychowaniu* powinnoby się zatym — kończy Förster — „kłaść daleko większy nacisk na *fundamenty* życia religijnego, na samopoznanie, na przezwyciężanie się, panowanie nad sobą, na najprostsze doświadczenia sumienia i wewnętrznej istoty człowieka". (Str. 206).

Wszystko to jest tak słuszne i przekonywające zarazem, że musi trafić do przekonania każdemu, kogo nie opętała jeszcze sofistyka racyonalistów i czyj umysł nie został jeszcze wyjałowiony przez ich pseudo-naukowe wywody.

Metody tej zresztą trzymał się sam Pan Jezus i apostołowie. Przez czyny szlachetne dążyć do poznania prawdy — oto najpewniejsza metoda, którą zaleca nam Ewangelia św.

„*Kto czyni prawdę, przychodzi do światłości*", mówi św. Jan (Ewangelja św. Jana Rozd. 3 w. 21), a więc przez posłuszeństwo i zachowanie przykazań Pańskich wiedzie droga do poznania Boga.

Metoda ta trafna była zawsze, ale najbardziej wskazaną jest obecnie, żyjemy bowiem w czasach budzącej się samowiedzy i coraz większego indywidualizmu, a właśnie powyższa metoda otwiera każdemu pole do osobistych zasług i wskazuje drogę do wzmocnienia swojej osobowości.

To uwzględnienie samodzielności w człowieku i uznanie jego osobowości za podstawę nauczania religji prowadzi nas z konieczności do drugiej za-

sadniczej prawdy — do *zróżniczkowania życia religijnego* śród ludzi przez uszanowanie ich psychicznych odrębności. Różne są typy na świecie pod względem psychicznym, bo u jednych przeważa rozum, u drugich serce, a u trzecich wola, każdego trzeba przeto inaczej traktować, jeżeli chcemy trafić do jego duszy.

Trafne pod tym względem uwagi podaje nam jeden z współczesnych nam myślicieli katolickich, p. Ludwik Posadzy, który sam przeszedł szczęśliwie kryzys religijny i porobił pewne obserwacje. „Zasada różnicowania się życia religijnego—mówi on—polega na odmienności religijnego doświadczenia. U jednych, niejako romantyków religijnych, zasada przeżywania jest serce". „Kto czuje, ten poznaje całą duszą. Jaźń czująca jest ześrodkowana, nie uznaje żadnego doświadczenia, pod którego wpływem nie zmieniłaby się cała. Rozżarzona uczuciem religijnym, z kobiecą podawczością zmierza do całkowitego zespolenia się z Bogiem, do celu religji, albowiem religja znaczy połączenie. Rozum uniesiony falą uczucia czuje się wniebowziętym i gubi swój głos w harmonji władz duszy religijnie napiętej".

„Są to mistycy, przedstawiciele ruchu, postępu w każdej religji".

„W doświadczeniu drugich przeważa rozum, który czyni z religji naukę, doktrynę, a tem samem wyjaśnia i ustala wierzenia religijne. Z natury jednak nie twórczy, musi czekać na zdobycie nowych dziedzin ducha przez uczucie, nim jego rozumowanie znajdzie moralne uzasadnienie".

„Wszystkie bowiem prawdy muszą się najpierw zasiać w uczuciu i woli człowieka, nim mogą wydać owoc w sferze intelektu. Są to scholastycy, którzy sporządzają inwentarz doświadczenia religijnego. A ponieważ rozum wypracowuje tu tylko tworzywo religijne, zatem pełni rolę zachowawcy. Umie przynajmniej bronić posterunków, gdy ich sam zdobyć nie potrafi".

, Prawda, za którą tylko logika rozumu przemawia, jest dla nas kapitałem martwym, dopiero gdy weszła w skład naszych instynktów, gdyśmy ją przeżyli, staje się żywotną".

„Zasadą mistyczną religja utrzymuje się w stanie płynnym, zasadą scholastyczną nabiera stałości i koniecznego ograniczenia owej płynności. Gdyby pierwsza rządziła wyłącznie, zgubiłby się człowiek. Religji brakłoby pierwiastków stałych.

„Gdzie druga weźmie górę, tam religijność kamienieje. „Najzdrowsze są epoki historji, w których oba te pierwiastki nawzajem się uzupełniają i utrzymują w harmonji potęgi ducha... W średnich wiekach obok mistyka stoi scholastyk, którzy jednak raczej się uzupełniają niż zwalczają. Tą równowagą między mistyką a scholastyką stały średnie wieki *)".

Pod koniec średnich wieków ta równowaga się zachwiała, a wybuch protestantyzmu pogorszył jeszcze sytuację, bo zmusił katolików do walki obronnej, która skończyła się oszańcowaniem się ich w dotychczasowych fortach i zajęciem się obroną zagrożonych pozycji.

W takich warunkach siłą rzeczy na pierwszy plan wybił się kierunek scholastyczny jako bardziej konserwatywny i potrzebniejszy do walki z rozsadzającym wszystko protestantyzmem.

---

*) Ludwik Posadzy: „O posłannictwie narodów europejskich". Str. 48—49.

W ten sposób dogmat został uratowany, ale życie duchowe przygasło śród katolików, bo zabrakło dawnej wolności i swobody myśli. Element mistyczny nie tylko zszedł na plan drugi, ale stał się wprost podejrzanym w Kościele.

Skrył się przeto pod ziemię i wytworzył ferment niezdrowy, którego rezultatem jest dzisiejszy modernizm. Aby temu zapobiedz, trzeba większego zróżniczkowania dusz ludzkich i większego uwzględnienia ich potrzeb religijnych.

Dlatego właśnie, że istnieją ludzie o dwojakim rodzaju ujmowania prawd religijnych, nie wystarcza już dziś jeden tylko, czysto rozumowy sposób wykładu nauki Chrystusowej, ale koniecznie potrzeba przypuścić do głosu i mistyków.

W teologji potrzebna jest zarówno mistyka jak scholastyka czyli teologja pozytywna. Dopiero wtedy, gdy przy kształceniu księży uwzględnione będą obadwa te czynniki, kaznodziejstwo nasze i katechizacja po szkołach naszych wejdą na właściwą drogę.

Wtedy dopiero zakwitnąć będzie mogło u nas życie religijne, a z nim i prawdziwa wolność duchowa, bo ona jest jego owocem i dobrze zasłużoną nagrodą.

Władza duchowna nie tylko nie ucierpi na tym, ale zyska jeszcze, bo ludzie wolni i duchy wyzwolone posłuszni są już nie z bojaźni ani dla interesu, ale z przekonania, które u nich sięga aż do najgłębszych korzeni sumienia i gruntuje się w samym Panu Bogu. Autorytet Kościoła ma dla nich powagę najwyższą t. j. boską.

Ks. dr. Jan Ciemniewski.

Lwów, w kwietniu 1914 r.

ŻYCIE.

(Spostrzeżenia i Refleksje).

Manifestacje.

Ciszę, panującą na terenie stosunków polsko-pruskich w Warszawie, przerwała młodzież.

Zamanifestowano przed mieszkaniem pruskiego urzędnika złowrogimi krzykami, rozbito kilka flaszek z atramentem, pozwolono się uwięzić... Dwa rodzaje kar dotkną demonstrantów — administracyjna już jest wymierzona, sądowa — w oczekiwaniu. Nie tu miejsce rozprawiać o nich. Nie na wyrzuty tracić będziemy czas, ani na insynuacje jak to pismo, które mówi manifestantom, czy „nie godniejszą byłaby prosta i uczciwa droga“. Spójrzmy raczej dokoła siebie. I niech otoczenie wskaże nam drogę do manifestacji, ale innego rodzaju.

Przywóz towarów niemieckich wzmógł się w ciągu 1913 roku o 34 miljony pudów i wyraził się ogólną sumą 431 mil. pudów.

Rynek polski tak zalano wyrobami pruskimi, że nawet rolnictwo nie jest od nich wolne; nawet szewctwo, rzemiosło rodzime i potężne dotąd, napotyka obecnie groźnego konkurenta — obuwie importowane z Niemiec.

Przedstawicielstwa polskie rosną jak grzyby, przedstawicielstwa, ale czego? — Fabryk niemieckich. Reprezentantom nie idzie o źródło, o jakość, ale o to by żyć.

Pisma nasze, z wyjątkiem kilku poważnych odłamów, pełne są niemieckich ogłoszeń. W r. ub. najbogatszy organ polski drukował jednego dnia 22 większe reklamy. A były i reklamy „Hohensalza". Hohensalza! cóż to za hołd kulturze niemieckiej!

Bojkot uzdrowisk niemieckich przerwano. Nie mówmy już o Sopotach, ale Kołobrzeg, Swinemünde, Helgoland i inne są milczeniem — aprobowane.

A jako jedyną przerwę tej łagodnej ciszy i ślicznej zgody w stosunkach polsko-pruskich otrzymaliśmy manifestację młodzieży. Gdzież jest praca polska? Gdzie twórczość? Gdzie skupienie?

Tu jest pole do manifestowania nie gniewu i bólu, ale jasnej przyszłości.

I niech nie mówi młodzież warszawska, że ona mogła tylko taką demonstrację urządzić. Znamy czyny inne. Młodzież lwowska wydaje pismo, obronie przemysłu krajowego poświęcone; krakowska — informator o pismach polskich; inne grupy zakładają sekcje przemysłu rodzimego, czyż warszawska, zwłaszcza pracująca w zawodzie technicznym, nic zdziałać dla podniesienia gospodarczego kraju nie może? Dość postanowić pracować nad takim działem przemysłu, który mają w ręku obcy, aby był w naszych. — Ale trzeba postanowienie zacząć przy warsztacie naukowym, a skończyć przy warsztacie ekonomicznym i społecznym.

O ile marne są manifestacje, gdy się je wymierza słownie — przeciw wrogom, o tyle potężne, gdy podnosi się je pracą dla swoich i chwilowo nawet przeciw swoim zgnuśniałym, obojętnym rodakom. *p.*

SPRAWOZDANIA i KRYTYKI.

CZESŁAW JANKOWSKI. Naród polski i jego ojczyzna. Str. 60 c. 30 k. Warszawa 1914 r. Odbitka z „Prawdy".

P. Czesław Jankowski, poeta, publicysta, po części historyk, autor cennego „Powiatu Oszmiańskiego" jest śmiałkiem nielada. Oto, ni mniej, ni więcej, jeno w głośnej dzisiaj broszurze, nakreśla on granice przyszłej ojczyzny Polaków. Cóż go skłoniło do tak arcypolitycznej, patryotyzmem wysokim tchnącej, pracy? Oto zacieranie się pojęć współczesnych o Polsce i, w większym stopniu, tryumf nacjonalistów z Zachodu, Wschodu i Północy, na naszych kresach. Pierwsze jest jakby przygotowaniem do „okopania" się w granicach naszych, drugi staje się koniecznością życio-

wą wprost do wycofania sił, uwięzionych przed laty. P. J. z uśmiechem ironicznym każe nam patrzeć na Polaków, którzy zagadnięci o ojczyznę bądź „wskazują na Warszawę, bądź nakreślają kółko między Krakowem i Warszawą, bądź wreszcie pokazują Wielkopolskę, ale celując tak, aby palec znalazł się bardzo niedaleko od granicy Królestwa Polskiego". To się nazywa obserwować uświadomienie narodowe in flagranti. Zdawałoby się, że obserwacja takiego wskazywania na mapie Polski powinnaby być wstępem do wyśmiania się z naszej znajomości geografji. Nie! to byłoby za banalne, nieefektowne, niepolityczne może. Przeto autor porzuca moralizowanie i nauczki i stawia kwestję granic Polski, wołając: ojczyzną naszą ma być Polska etnograficzna!

Przyjrzyjmy się bliżej temu hasłu. I zacznijmy od tego, na czym autor chce rzecz swoją ostatecznie skończyć, t. j. od kwestji granic. W liczbie mnogiej już, p. J. (wraz z innymi) za ziemie polskie uważa: Królestwo, W. Ks. Poznańskie, Galicję zachodnią, Ks. Cieszyńskie, rej. Opolską i—to wszystko. Jak to? więc ani Prusy Zachodnie, ani Warmia, ani Mazury, ani rej. Wrocławska, ani Spiż, słowem, miljon ludności polskiej nie zamieszkuje rdzennie polskiej ziemi? Nie, jakby odpowiada autor, bo nazwa „ziemia Polska", jego zdaniem, przystoi tylko okolicy, gdzie Polacy tworzą większość ludności". Widzimy więc, że ojczyzna nasza nie jest już Polska etnograficzna, ale Polska z przeważną ludnością rdzenną, inaczej mówiąc, etnografia poprawiona przez statystykę. Co warta taka statystyka, autor milczy, w milczeniu włącza pow. Skwierzyński i Międzychodzki (w Poznańskiem), gdzie Polaków jest po 10%, a „wyodrębnia", że użyję aktualnego czasownika, pow. np. Lubawski (Pr. Zach.), gdzie liczą nas do 80%, Białostocki i Sokolski, gdzie przebywa nas przeszło $^3/_5$. Statystyka p. Jankowskiego jest więc swoista, prosta i przystępna (oh i jak!) dla umysłowości uczniów choćby najniższej klasy. Oto w zarysie część pierwsza, przygotowawcza niby, wywodów autora.

Wie on doskonale, że statystyka i etnografia są to dzisiaj nauki nadzwyczaj giętkie i dla wielu, niestety ciężkie. Nie sądząc, aby mogły one wywrzeć wpływ odpowiedni na rodaków, lub dostateczny, inny im obraz przedstawia. Ach! obraz pełen barw czarnych, ponury i przygnębiający. Zaciska się nad nami żelazna obręcz (bez komentarzy), a na domiar złego na żywioł polski nastają nowi nasi współzawodnicy „o piędź ziemi, o miejsce dla niej, o prawo do życia, o łyk powietrza—jak Rusini, Litwini, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini". Tłum złożony z kilkudziesięciu miljonów ludzi, który nas wypiera.

Nie zaprzeczamy. Zewsząd, na kresach wschodnich, wstrząsa podstawami naszego bytu narodowego, obcy nacjonalizm. Ale tak jest i na zachodnich kresach, w Polsce etnograficznej, a więc bez względu, na to, gdzie przebywamy, czy na ziemiach zdobytych, czy rdzennie polskich. I nacjonalizm ten tym zajadlejszy jest, im lepszy dajemy mu odpór. Dość porównać nacjonalizm niemiecki z rosyjskim, aby przyznać słuszność temu zdaniu. Autor nie próbuje obrony przed obcą nawałą szowinistyczną, a raczej obrona jego to—hasło ucieczki do środka, do Polski etnograficznej, wywalczania placówek straconych przed laty na rzecz Niemców i Żydów. Zupełnie tak, jakby zgęszczenie ludności i przypływ kapitałów były

środkiem najodpowiedniejszym do ratunku. Takie kwestje, jak wychodźtwo, właśnie z gęsto zaludnionych okolic i uchodzących za bogate, jak Kr. Polskie, jak brak ziemi, jak nieumiejętność obracania groszem, który zaoszczędza się w Polsce (etnograficznej) dla autora broszury nie istnieją. Prawda, nie zamierzał on dawać programu, ale rzucał *nieodpowiedzialne* hasło: „nabycie i utrzymanie w polskich ręku jednej kamienicy w Warszawie jest czynem patrjotycznym, sto razy donioślejszym, niż tkwienie z pełną kabzą i w pełni sił życiowych, albo z resztkami jednej i drugich gdzieś w mińskich błotach, pod kurlandzką granicą, na czernihowskich czarnoziomach, albo gdzieś pod Kołomyją". Przekonywujemy się z tych ostatnich słów, że autor kresy miesza w jedną kupę, bo zamieszkanie Galicji Wschodniej i Białorusi uważa za równie—niepożyteczne. Wątpię, czy po takim zestawieniu, autor „Powiatu Oszmiańskiego" zdobędzie większą sławę jako publicysta. Trzebaż, choć odrobinę mieć zmysłu krytycznego, nawet w pełnej temperamentu i radykalizmu broszurze i na nasze uświadomienie narodowe, na naszą pracę kulturalną, na nasze rządy—w Galicji Wschodniej—łaskawiej i pogodniej spojrzeć. Są kresy i kresy. Są pustkowia, gdzie Polak siedzi jak na obczyźnie i są oazy, których krzykliwy, a tak często bezradny i bezładny nacjonalizm nie niszczy. W pierwszej linji stosuje się to do Galicji Wschodniej. Ale przypuśćmy, że nawała nacjonalistyczna jest poprostu nie do uwierzenia, czyż powstrzymamy ją ucieczką. Czy nie pójdzie ona za nami ślad w ślad, ot, tak aby żyć—z naszej obecności, a na naszym odwrocie wzmacniać się i szaleć. Zresztą, nacjonalizm uważamy za zjawisko skomplikowane. Wrogie nam nacjonalizmy walczą ze sobą—to fakt, a w tej walce zapominają o nas, lub przynajmniej osłabiają ataki przeciwpolskie—i to dobrze. Miejmyż i my trochę optymizmu, miejmy nadzieję, że o naszą wytrwałość nacjonalizm, wytwór historyczny, o rozmiarach i napięciu zmiennym rozbije się lub zdrętwieje. Spójrzmy wreszcie na życie polskie kresowe, na liczne instytucje finansowe, rolnicze, dobroczynne, oświatowe, na samorząd, na miasta wreszcie w których skupieni, lepiej sobie dajemy radę, niż po wsiach. Czy sytuacja nasza jest beznadziejna? Dla autora, zdaje się, tak. Nawet rzeź galicyjską uważa on za „wielki tryumf" polityki austryjackiej. A był to wypadek bardzo smutny wprawdzie, ale który nie przeszkodził w czternaście lat później ogłoszeniu konstytucji i—rozwojowi narodowemu w Galicji. Zbytecznie więc autor wyolbrzymia politykę zachłanną oraz nacjonalizm i napróżno w nas wmawia: nabycie kamienicy polskiej w Warszawie jest czynem stokroć donioślejszym i t. d. Jest jednym z tysięcy czynów, tylko. A czy sądzi autor „Narodu polskiego", że nasi kresowcy zaraz po wycofaniu się z „błot mińskich" nabywać kamienice będą. Prędzej dorzucą drugie, trzecie 25 miljonów na hypoteki żydowskie, niż na kupno „drapacza nieba". Ci, co schodzą z kresów, są to ludzie bierni, lekkomyślni i rozrzutni. Nie zmienią oni swych przekonań wraz z miejscem pobytu, raczej szkodzić będą robocie, która się rozpoczęła, a której oni, jako dalecy i obojętni, nie odczują.

Czy mam dać wniosek ostateczny o haśle p. Jankowskiego? Nasuwa się on sam: nie o zmianę granic celem obrony chodzić nam powinno, ale o wytężenie wszystkich sił obronnych, które tkwią w kapitałach naszych, zdolnościach i cierpliwej pracy.

I na tym właściwie chciałem zakończyć, gdyby sprawiedliwość nie nakazała mi oddać hołdu należnego zasługom p. J. Zasługom? po takiej ocenie? zasługom bez kąśliwego cudzysłowu? Tak jest, niewątpliwie, autor „Narodu polskiego“ ma zasługi, które są w blizkim związku z jego pracą.

O pierwszej możeby on nie chciał wiedzieć, gdyż stoi ona w sprzeczności z hasłem o okopach Polski etnograficznej. Oto p. Jankowski sprzedał swój rodzinny majątek w Oszmiańskiem, koroniarzowi. Z tej tranzakcji wynikła wymiana kapitałów polskich między kresami, a Polską etnograficzną, i kto wie, czy nie z większą korzyścią ekonomiczną dla kresów. Druga zasługa p J. polega na tym, że rzucił on hasło, które dotychczas tułało się w myślach, a w niektórych rozmówkach prywatnych brzmiało tak: ach! gdybyśmy wszystkie kapitały zebrać mogli i wszyscy połączyć się, o ilebyśmy silniejsi byli, o ile. Praca więc p. Jankowskiego jest małym dokumentem, przyczynkiem do umysłowości Polaków około 1914 r., ma ona znaczenie historyczno-obyczajowe. Oby tylko nie była głosem proroka, który nawraca tłumy.

Henryk Tyszka.

EMIL FAGUET. Dziesięć przykazań miłości. III Kochaj Rodzinę. Z francuskiego przełożył A. L. Warszawa, M. Arct 1912, str. 98.

Są prawdy, które dobrze były znane naszym dziadkom i babkom, a o których my tylko niekiedy przypadkiem się dowiadujemy, gdy jaki wybitniejszy pisarz z nad Sekwany lub Tamizy na nowo zechce nam je ogłosić. Nie chcę być niesprawiedliwym dla Fagueta. Głosi on stare prawdy, ale daje niekiedy nowożytne oświetlenie, przytym pisze je w sposób przyjemny, łatwy i przejrzysty.

Może podobny sposób pisania odbija się niekorzystnie na poglądach, które autor głosi. Nie czujemy w nich głębokiego i potężnego ukochania ideału moralnego, nie poruszają słowa jego szlachetniejszych i delikatniejszych strun duszy naszej, nie porywają i nie zapalają do prawd, o których mowa. Słowa Fagueta to słowa rozumnego człowieka, który wiele widział, wiele doświadczył i z doświadczeniami tymi dzieli się z czytelnikiem, przemawiając przedewszystkim do... rozsądku. I dlatego z książeczki Fagueta wieje chłód, wieje utylitaryzm, wieje jakaś kupiecka moralność.

Może wszystko to jest zrozumiałe na gruncie francuskim, na podłożu łacińskim wyrosłym, gdzie nie przejmują się niczym zbytnio, nie mają też tej mocy i tężyzny w postawieniu ideału, w ukochaniu go, co u nas. Nas takie pigmaljonowskie à la Shaw poglądy na kobietę nie zawsze i nie wszystkich entuzjazmują. Żądamy nieco więcej ciepła serdecznego od kobiety, a mniej feministycznej swobody, w której właściwą granicę trudno utrzymać. Receptę Fagueta, zalecającą „cudzołóstwo myślowe“, jako środek konserwujący uczucia rodzinne, należy uznać za złą i szkodliwą. Natomiast z uznaniem podnieść należy, że węzłami rodzinnymi są miłość i szacunek, że rodziną rządzić powinni rodzice, względnie jedno z nich (prawdopodobnie ojciec), a nie dzieci, jak się to u nas najczęściej

dzieje. Stare to prawdy, ale u nas zapomniane i zasługą autora jest, że nam je przypomniał. Dużo odwagi ma Faguet, głosząc w dzisiejszych warunkach ekonomicznych życia zasadę zawierania małżeństw jaknajwcześniej. Tym świetniejsze jest zwycięstwo jego argumentacji, opartej nie tylko na przesłankach natury ideowej, ale i na realnych warunkach życiowych. Dziwne to rzeczy. Dziwne musiały się wydać Francuzom, dziwne i nowe są dla nas, gdzie normą zaczyna być małżeństwo, między przeżytym trzydziestokilkoletnim „młodzieńcem" („weteranem" słusznie nazwanym przez Fagueta) i dwudziestokilkoletnią „dziewicą", sprostytuowaną moralnie lekturą, kabaretem, teatrem, ustawicznym szukaniem wrażeń i przygód miłosnych.

Rzecz wydana ładnie, godna przeczytania, ale krytycznego.

t—icz.

Z miesiąca.

Pruscy obrońcy ołtarza. — Do najwyższej instancji. — Wychodźtwo jako zło do naprawienia. — Podejrzana przyjaźń. — Wystąpienie kulturalnych Rumunów. — O resztki polszczyzny — Reformy w Królestwie. — Praca na wsi. — Powódź odczytów.

Jeden krzyk oburzenia i zgrozy wydarł się z piersi setek tysięcy Polaków na wieść o wypędzeniu dzieci z kościoła św. Pawła w Berlinie. Dom Boży opanowała kohorta policji, jeśli nie wezwana, to spodziewana przez o. o. Dominikanów. Gromadka dzieci polskich nie przystąpiła do Stołu Pańskiego. Odmówiono im Chleba Żywota, a tej odmowy protestancka, brutalna ręka była bezwzględną strażniczką. Opinja polska nie robiła sobie tym razem skrupułów i w ostrych słowach potępiła zakonników za ich uległość i wykręty. Sprawdzają się tak niedawno wyrzeczone tutaj słowa, że kardynał Kopp „pozostawił tradycję walki antypolskiej w środowisku kościelnym". Ale tę tradycję trzeba złamać, gdyż szkodliwa dla Polaków, zgubna być może dla katolickich Niemiec, oddających się, nie po raz pierwszy, lekkomyślnie na łaskę i niełaskę biurokracji. Zagłuszyli Niemcy protesty uczciwych i głębiej czujących rodaków. Ciekawa rzecz teraz, czy zdołają w Rzymie osłabić interwencję prezesa Koła polskiego, księcia Radziwiłła, który na specjalnym posłuchaniu u papieża zdał sprawę z zajść w Moabicie. Faktem jest, że Watykan sprawą zajął się żywo. A chociaż Niemcy silny wpływ mają w Kurji Rzymskiej, sądzić należy, że wmieszanie się księcia nie pozostanie bez skutku.

Już to wogóle powinniśmy sobie przyjąć za zasadę, aby praw własnych dochodzić aż do najwyższej instancji. Poddawać się biernie nielegal-

nym przepisom, równa się dobrowolnemu ograniczeniu tego, co jest słuszne i święte. Więc, czy to będzie chodziło o naukę religji w języku ojczystym, czy o zebranie, czy o szyld polski, w każdej drobnej nawet sprawie walczyć mamy dopóty, dopóki wyroku ostatecznego nie usłyszymy. Nie mówmy z fredrowskim sceptykiem: „I na co się to wszystko przyda“. Czasem dobrze jest bowiem zmusić „wstydzącą się“ sprawiedliwość, aby przemówiła na naszą korzyść. I odwrotnie, porzucenie walki budzi później wśród nas wyrzuty sumienia. Wszak do dziś dnia jeszcze nie darują sobie prawnicy i arystokraci (po części), że pozwolili zaprzepaścić dobra Rydzyńskie Sułkowskich bez wyzyskania obrony sądowej. Poniewczasie! A ile razy to słowo zastosowaćby można do pilnych i aktualnych spraw społecznych, o których jako „aktualnych“ pisze się tylko sprawozdania, a jako o „pilnych“ umieszcza się — telegramy. Przykładem — sprawa wychodźcza. Na wielkim targowisku żywego ludzkiego mięsa, w Mysłowicach, chodzą agenci pruscy i probują siłę roboczą, która jest do ich rozporządzenia. Słabsi i drożsi pracownicy pójdą precz. „Na Saksy“ zabiorą werbownicy tylko krzepkich i tanich. Rezultat oględzin wypadł fatalnie. Podaż przewyższyła popyt. Odrzucono tysiące rąk roboczych; o głodzie i chłodzie wrócili polscy i ruscy wieśniacy do domów. Nikt się temu nie dziwił, nawet ci „politycy“, którzy odgrażali się, że Niemcy nie dostaną robotnika i będą ogłodzone; nawet ci, których obowiązkiem społecznym i osobistym interesem było już w zimie zakrzątać się, aby część chłopów dostała w kraju zajęcie na folwarkach. A teraz co? żale i skargi, biadania i niepokój, co będzie w lecie. Bo chociaż wróciło parę tysięcy wychodźców polskich, niewiadomo, czy zechcą oni pracować po dworach. Towarzystwa Rolnicze nie opracowały, a raczej nie umiały przedsięwziąć agitacji koło sprawiedliwego kontraktu najmu, któryby przyciągnął lud na folwarki i zmniejszył spustoszenia emigracyjne. W naszych warunkach, wobec braku ustawy wychodźczej tylko sprawiedliwa umowa najmu stać się może bezpośrednią i najważniejszą przeszkodą w emigracji „na Saksy“. Takich umów „normalnych“, wzorowych powinnoby być kilka, odpowiednich dla danej okolicy kraju i dla danego typu gospodarstwa. Moim zdaniem, nie powinniśmy pomijać czynnika, jaki dostarcza sam lud, w jego oświeconych, rozumnych przedstawicielach, dla zmniejszenia wychodźtwa. Czy nie czas, aby on właśnie uświadamiał o złych stronach emigracji na łamach pism ludowych, w rozmowach sąsiedzkich? Nieraz łatwiej jest przekonać chłopa chłopu, niż chłopa inteligentowi, choćby nim był sam „jegomość“. Również wydaje mi się, że literatura o wychodźtwie jest za szczupła. Informacje zawarte w broszurkach są drobne, za słabo wykazują one niebezpieczeństwa moralne i materjalne, na jakie są narażeni wychodźcy. I wiele, wiele jeszcze nasuwa się uwag, których rozwijać na tym miejscu nie sposób. Dodam tylko, że Rusini nie przerwali stosunków „rolnych“, czy jak kto życzy sobiee konomicznych, z Prusakami. Przeciwnie, przywódcy ich manifestują tę „gospodarczą“ zażyłość bez obawy. Kilkogodzinne rozmowy metropolity Szeptyckiego z konsulem pruskim we Lwowie nie ograniczyły sie tylko na podziękowaniu urzędnikowi za jego udział w uroczystościach Szewczenki, i za długo cokolwiek trwały, aby je można było wziąć za kondolencję z powodu wyjazdu wicekonsula, osła-

wionego Fautera. Rola księcia i księdza Maksymiljana Saskiego, który zjechał na wykłady do seminarjum gr. kat. we Lwowie, zaczyna być także zagadkową. Tylu sprzymierzeńców, przyjaciół i życzliwych Rusinom — to nie dla nich wyłącznie, to przeciwko nam. Za pozwoleniem! są i współzawodnicy w ekspansji ruskiej — Rumunowie. Chwilowo rumuńscy zwolennicy „teorji historycznej" napadają na Polaków. Za co? Czy historja Wołoszy nie jest wielkim, tragicznym nawet pasmem zdrad, (Cecora) jakimi odznaczali się hospodarowie względem Polski? Więc o cóż chodzi współczesnym Rumunom? Oto szczerzą oni zęby na Galicję Wschodnią, której politycznie i kulturalnie jesteśmy panami, stając przeto do konkurencji z Rusinami o losy tego kraju. Nie chcę przesadzać znaczenia rumuńskiej „Ligi kulturalnej", która głosi ekspansję za Prut i Dniestr, ale, bądź co bądź, trudno przemilczeć to uderzenie w stronę — najsłabszego.

Prusacy, Rusini, Rumunowie i — znowu Prusacy grożą wynarodowieniem. Z wielką starannością, którą niestety przyznajemy, zabiera się rząd pruski do usunięcia religji w języku polskim w szkołach ludowych. Religja wykładana jest po polsku tylko dla najmłodszych dzieci, w wyższych oddziałach panuje już niepodzielnie niemczyzna. Ale i tej reszty chcą nas pozbawić konsekwentni politycy pruscy. Zdaje się, że nie będą potrzebowali specjalnych praw do zniesienia języka polskiego. Zdaje się, że wystarczy okólnik ministerjalny, aby nauczycielstwo oświecić, a rodziców i dzieci pogodzić z dokonaną reformą. Nie omieszka rząd pruski zasłonić się przytym względami humanitarnymi. Stanie on niewątpliwie jako obrońca biednych nauczycieli ludowych, którzy z taką trudnością uczą się języka polskiego, aby móc udzielać lekcji religji. Przezorny, humanitarny rząd pruski zaoszczędzi im trudów, równie bezużytecznych jak niebezpiecznych (polonizacja). Ale to jest dopiero projekt. W dziedzinie faktów zmiany nastąpiły tylko dla Królestwa. Jest ich trzy. Więc, nasamprzód, cicho sprawująca się płeć piękna otrzymała szersze prawa, większą samodzielność, jakiej poskąpił jej kodeks Napoleona. Nie znając w całości reformy, poprzestaję na krótkim zaznaczeniu, wiem jednak, że nowe prawo nie zadowoli zainteresowanych i — obdarzonych. A przecież tak mało, doprawdy i tak rzadko korzystamy z dobrodziejstw prawnych, że tę drobną i połowiczną zmianę (w dosłownym znaczeniu wyrazu) z zadowoleniem przyjąć powinny kobiety.

Drugą sprawą, którą w drodze prawodawczej roztrzygnięto, jest odmowa wynagrodzenia za propinacje wiejskie. Obywatelstwo i gromady włościańskie straciły kilka milionów rubli, które jak twierdzą prawnicy polscy im się należały, faktycznie czy formalnie, w to nie wchodzimy. Wreszcie najciekawsza kwestja — samorządu — posunęła się krok dalej. Izba Państwowa po raz drugi uchwaliła projekt, ale znacznie zmieniony na niekorzyść władz samorządowych. Teraz chodzi „tylko" o zatwierdzenie przez Radę Państwa. Ale to „tylko" obejmuje aż obrady w języku polskim. A wiadomo, jak Izba Wyższa lubi Polaków przemawiających w języku urzędowym, choćby na własnych łamach. Ostatni akt walki o samorząd rozegra się prawdopodobnie w maju. Epilogiem będzie zatwierdzenie cesarskie.

Od wielkich spraw przechodząc na teren ściśle miejscowy, nie mogę

powstrzymać się od podania krótkiej choćby treści odczytów wielkopostnych. Mają one tradycję swoją, mają rozmach ideowy, mają prelegentów świetnych i—dziwnych. W dziedzinie historji związanej z chrześcijaństwem wymienię odczyt prof. Morawskiego o Plinjuszu i Francuza Funck Brentano o „Joannie d'Arc". Pierwszemu na przeszkodzie stawała szczupłość historycznego tworzywa, którą pokrywał znajomością całej epoki, drugi dokumentów miał pod ręką tak dużo, że musiał ograniczać się w ich wyborze. Dla katolika i patryjoty (bez różnicy narodowości) ciekawszym powinien być drugi, gdyż postać Dziewicy Orleańskiej, przyciąga jako bohaterki narodowej bez skazy i jako wcielenia miłości ojczyzny bez szaleństw. Prelegent francuski nie czynił przed nami wyznania wiary, ale pozwolił odczuć w słowach swoich zwątpienie o nadnaturalnym posłannictwie Joanny d'Arc.

Nie poruszyły Warszawy odczyty prof. Lutosławskiego. Nowe poglądy swoje na okultyzm, ruch skautowy i tajne organizacje, na śluby wstrzemięźliwości (których stał się przeciwnikiem), wreszcie na półwarjactwa (jak... grafomanja) wypowiedział on śmiało i — bezwzględnie. Więcej ciekawości obudziły odczyty w Petersburgu, Wilnie i Kijowie, jako rzadki głos wielkiego Polaka. Na ostatku zaznaczę prelekcję pastora Machlejda o „Moralności dawnej i nowej", nie dla tego, by prawdy nieznane dotąd zawierała, lecz że usiłowała przeniknąć w sferę etycznie zaniedbaną, chwiejną, rzuconą na łup wolnomyślnego dziennikarstwa i bałamutnych a przestarzałych książek, w sferę — handlowców. To nie wszystko, co można powiedzieć o odczytach wogóle, gdyż przemówienia gości belgijskich o masonerji, chociaż slyszane w Krakowie, echem szerokim rozeszły się po Polsce. Zasługą prelegentów, bez wątpienia, jest rzucenie snopu światła na tajną, związaną nićmi niewidzialnymi, organizację. Goście belgijscy wykazywali jej znaczenie w kraju ojczystym, gdzie, bądź co bądź, rządzą katolicy i przedstawiali środki, jakich używa katolicyzm przeciwko wolnomularstwu. Na każdą instytucję dobroczynną, oświatową, polityczną prowadzoną w duchu masońskim odpowiedzieć stowarzyszeniem podobnym, ale z ducha katolickim. Miałżeby to być wzór dla Polski? Gdyby tak pojmowano u nas zadanie katolickiego postępu, długo czekanoby na pole do pracy. Jeszcze nie wykryto na ziemiach naszych związków masońskich, snują się dopiero podejrzenia, odchyla się zwolna rąbek kotary, za którą pono spiskują masoni. Jeszcze niema pewników, tylko są domyślne uśmiechy, wytykania palcem pewnych zrzeszeń rzekomo masońskich. Z faktów przytaczam obecność ludzi w Polsce, którzy, przed laty, zagranicą do wolnomularskich lóż należeli i wydawnictwa w Krakowie im. Ferrera, tego anarchisty, który według mówców belgijskich był w stosunkach zażyłych z masonerją. Praktyczny wynik odczytów w Krakowie wydaje nam się mały. Prelekcje pocieszyły publicystów, dając im świeży materjał do artykułów, poruszyły pewne sfery nadzieją, że może niedługo z „takim wrogiem" zmierzą się chwalebnie. Nie odnowiły jednak tego wewnętrznego poczucia, że pracować społecznie trzeba, które nie pochodzi z cudzej inicjatywy, ale z własnego ukochania kraju i — Boga. Odczyty zawiodły o tyle jeszcze, że zaniedbały wbrew obietnicy, przedstawić pracy społecznej młodzieży belgijskiej. Głucho o niej przynajmniej było

w dziennikach. Natomiast młodzież polska rozniosła smutną wieść o sobie, jak to umie ona walczyć o — honor. Zabójstwo w pojedynku za zarzut tchórzostwa i „bohaterska“ ucieczka zabójcy oraz sekundantów marne wydały świadectwa idei pojedynkowej. Gdzież tu jest pomszczenie honoru? Wysokość winy nie odpowiadała wcale wysokości kary, którą wymierzył koledze samozwańczy sędzia młokos. Za dużo czasu ma młodzież na studjach i za bardzo w dochodzeniu czci ulega wpływom burszów niemieckich.

Przykrych, ujemnych objawów życia polskiego już nie dopełnię ani słowem. I chociaż mało chwil radosnych przeżywaliśmy, tę jedną, wywołaną zjazdem marcowym rolników w stolicy naszej, warto upamiętnić dłuższym wspomnieniem.

Kółka rolnicze, ośrodki oświaty wiejskiej, rozrosły się liczebnie tak dalece, że dosięgają imponującej cyfry 964 z 30050 członkami. Czy jednak powinna nam wystarczyć ta, że tak się wyrażę, popisowa strona rozwoju kółek? Stanowczo nie. Nie idzie ona bowiem w parze z rozwojem organicznym kół. W sprawozdaniu, jakie ogłosił Centralny Wydział K. R., raz po raz czytamy o trudności pracy, o słabym zainteresowaniu, o braku sił fachowych. Ale i tam nawet gdzie „członkowie biorą mały udział, pod wpływem kółka wprowadzają w gospodarstwie różne ulepszenia“. Tak brzmi dosłownie relacja jednego Koła (i bynajmniej nie wyjątkowa). Wszystkie stany pracują w kółkach, mamy inteligencję wiejską, która przewodniczy 209 zrzeszeniom, inteligencję złożoną przeważnie z obywatelstwa, ale w drobnej części również ze sfer nauczycielskich (3), lekarzy (5), aptekarzy, techników, przemysłowców, urzędników. Udział księży jako prezesów kółek jest poważny (124), czy mógłby większy być, trudno osądzić, zwłaszcza wobec życzeń, aby kółkami kierowali fachowcy, ludzie znający się bardzo dobrze na kulturze ziemi. Wpływ duchowieństwa w pojedyńczych wypadkach był bardzo dodatni, weźmy choćby fakt założenia w kółku prowadzonym przez księdza L. ochrony na 300 dzieci, w innej urządzenie do słynnej wsi galicyjskiej Albigowej wycieczki, która więcej nauczy i zachęci do pracy społecznej, niż najświetniejsze opisy i odczyty.

W wielu kółkach przewodniczą włościanie, garstka mieszczan i rzemieślników (między innymi szewc) również kieruje kółkami.

Słusznie powiedziano, że okres agitacyjny w historji kółek minął. Nastaje czas pracy organicznej. Wyników jej oczekiwać można spokojnie. Współczesna wieś polska co raz mniej wdzięcznego tematu dostarcza melancholijnym lirykom.

Obserwator.

Człowiek nie na to jest stworzony, by myślał i czuł, ale by działał. Działanie to cel. Reszta jest środkiem lub wynikiem. Czyniąc z niej cel, łamiemy naturę, która wtedy zawsze mści się w ten lub inny sposób.

A. Eymieu. Panowanie nad sobą.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

„Przegrana sprawa".

Rozgłośna dziś broszura p. Czesława Jankowskiego, (którego nie należy utożsamiać ze współpracownikiem „Prądu" p. Czesławem Ksawerym Jankowskim) o „Narodzie polskim" znalazła jeśli nie najdłuższą, to najlepiej pomyślaną, najgłębiej odczutą replikę w artykule p. Edwarda Abramowskiego p. n. „Pomniejszyciele ojczyzny". Artykuł znakomitego badacza na polu psychologji doświadczalnej dajemy częściowo w przedruku z „Kurjera Warszawskiego". Łącznie z oceną umieszczoną w dziale „Sprawozdania i krytyki", będzie ona chyba wystarczającą odpowiedzią na twierdzenie p. J., że zachowanie nas w dawnych granicach to sprawa przegrana.

Są ideje, pochodzące ze słabości, tak samo jak są pochodzące z siły. Ludzie, znużeni życiem i walką, wątpiący, „psychostenicy" z natury, pesymiści z urodzenia, poszukują jak gdyby usprawiedliwienia przed samymi sobą własnej niemocy czy bojaźni,—i szukają idei, więcej nawet, szukają systematów filozoficznych lub programów społecznych, któreby wytłumaczyły i uzasadniły ich słabość. Rodzą się wtedy owe ideje smutnej rezygnacji, hasła wstydliwe, wypowiadane z zastrzeżeniami, hasła, które już w samym początku swych narodzin noszą piętno śmierci. Jeżeli przyjmują się wśród jakiego narodu i żyć zaczynają, to znak nieomylny, że naród ten skazany jest na zagładę. Jeżeli spotykają atmosferę życzliwą dla siebie, w której mogą rozszerzać się, to znaczy, że jest to atmosfera upadku energji życiowej, okres tchórzostwa, zmalenia dusz, zwyrodnienia.

W przeciwieństwie od tego, jak ideje z siły pochodzące przynoszą z sobą, wszędzie, gdzie powstaną, radość życia i dumę, upojenie bohaterstwa i przedziwny urok cnót rycerskich, romantyzm młodości, który sam przez się starczyć może niekiedy za broń niezwalczoną; w przeciwieństwie do tego—ideje słabości przynoszą z sobą upokorzenie i wstyd, zgrzybiały, bezsilny rozsądek, starający się uczyć ludzi, jak trzeba żyć, ażeby *żyć jaknajmniej*, jaknajskromniej, najciszej, żyć nie zawadzając nikomu, zadowalając się najmniejszą ilością powietrza i słońca, ziemi i wolności, pokarmu i uciechy. Są to ideje, uczące życia bojaźliwego, życia ludzi na wymarciu, życia parjasów.

W narodzie polskim, którego duszą było rycerstwo hojne i odważne, dumne i wspaniałomyślne, ideje tego rodzaju nie miały dotychczas pola, aby się rozwinąć mogły. Tradycja bohaterstwa, idąca nieprzerwanie poprzez pokolenia, aż do ostatnich czasów, nie pozwalała krzewić się myśli, którą rodziła bojaźń, a hodowała niemoc i zwątpienie.

Dopiero w ostatnich latach, w pokoleniu, wychowanym na „materjalizmie" filozoficznym i społecznym, szerzyć się zaczęły nieśmiałe szepty „ideologji trzeźwej". Któż z nas nie spotykał ludzi, należących

do ziemiaństwa kresowego, lub z inteligencji wschodnio-galicyjskiej i poznańskiej, którzy, opowiadając o ciężkich warunkach życia, o przemożnej sile żywiołów wypierających, wypowiadali jednocześnie, bojaźliwie i niepewnie patrząc w oczy, swój „program" rezygnacji z dawnych siedzib? Czyż zdołamy ostać się! mówili, jest nas coraz mniej, fala obca zalewa, a jeżeli nie zalewa jeszcze dzisiaj, to napewno zaleje jutro. Po co zatym daremna walka i straty? czy nie lepiej, nie wygodniej, nie korzystniej wynieść się z tej ziemi pra-ojców, z której nas pędzą; czy nie lepiej skupiać się nad Wisłą, przenieść do Warszawy swoje fortuny i siły? Tych ustępujących zawczasu można spotkać wszędzie: na Litwie i na Wołyniu, pod Kołomyją i pod Lwowem nawet! Boją się oni wszystkiego, czują się parjasami wobec każdego obcego nawet przybysza; gotowi są ustąpić z własnego domu na pierwsze wezwanie, na pierwszą groźbę. Są to „ugodowcy" z urodzenia, „pomniejszyciele ojczyzny" z własnej woli, a raczej z własnego niedołęstwa. Bismark wysyłał ich ironicznie do Monte-Carlo. Rusińscy prowodyrzy w Galicji wyrzucają ich za San; litewscy „nacjonaliści" wskazują im bez ceremonji, że mają wynosić się nietylko z Litwy, ale i z całej Suwalszczyzny. Czesi wreszcie pędzą ich ze Śląska Cieszyńskiego. Ale ci wszyscy bojący się i ustępliwi nie mieli dotychczas swego programu, któryby w imię „dobra ojczyzny" usprawiedliwiał ich małe dusze. Mówiono o tym, ale szeptem, mówiono, jakby wstydząc się, o smutnej konieczności, zarzekając przytym, że to nie przekonania ich, ale mus działa.

I oto zjawia się dla „nich" ideologja.

A niżej zagadnienie „narodowościowe" p. Abramowski tak przedstawia:

Na szczęście sama zasada Polski etnograficznej jest zasadą fałszywą, pojęciem utopijnym, nierealnym. Historja nie zna narodów *etnograficznych*; są tylko szczepy lub plemiona etnograficzne, to co służy do tworzenia narodu. Narody najbardziej dziś rozwinięte i jednolite, posiadają swoistą duszę i cywilizację, młodsze i silne, są wielkim zbiorowiskiem różnych ras, szczepów i plemion. Np. Francja; przejdźmy jej poszczególne kraje od celtyckiej Bretonji zaczynając, przez Normandję, Pikardję, Sabaudję i t. d. do południowej Prowancji; spotkamy nietylko odmienne rasy i typy etnograficzne, zamieszkujące jednolicie owe kraje, lecz także odmienne języki, dążące nawet do tworzenia własnej literatury (celtyckiej lub prowansalskiej), języki lub gwary ludowe, tak dalece niepodobne do siebie, że włościanie tych krajów, nie znający mowy literackiej francuskiej, nie mogą się między sobą porozumieć. A jednak jest tylko jedna Francja jako ojczyzna, jednakowo miłowana i broniona bohatersko przez Bretończyków jak i przez Prowansalów.

Zobaczmy taką Anglję. Celtowie, zamieszkujący Walję i południowe brzegi Anglji, nie mogą porozumieć się ze Szkotami; Szkoci nie rozumieją języka londyńczyków i t. d.; spotykamy tu odmienną mowę, odmienne zwyczaje, podania, ubiory. Pomimo to jest tylko jedna ojczyzna angielska dla nich wszystkich. Albo Niemcy. Zdawałoby się, że jest to ów *par excellence* jednolity etnograficznie naród. A jednak

chłop bawarski, stając przed sądem pruskim, potrzebuje tłumacza; a nawet powierzchowny obserwator potrafi odróżnić typ Prusaka, mieszańca krwi Słowian, Niemców, Prusów, Litwinów, od typu Niemca południowego lub z okolic Hamburga i ze Szlezwigu. W przeciwieństwie do tych narodów, etnograficznie mieszanych, mamy tylko plemiona czyste etnograficznie, Słowaków, Chorwatów, Ormian i t. d., ludy bez ojczyzny, dążące dopiero do tego, aby się przetworzyć w naród i ojczyznę stworzyć. Widzimy więc, że t. zw. „jedność etnograficzna“, a „ojczyzna“ są to pojęcia niewspółmierne. Ojczyzna tworzy się ewolucyjnie; tworzy się historją współżycia ludów na tej samej ziemi; tworzy się przez ciągłe krzyżowanie krwi i ducha, przez przeżywanie tych samych wypadków zbiorowego życia, tych samych walk, uczuć, wspólnych nadziei i radości, klęsk i smutków. Ojczyznę mam dlatego, że we krwi mojej na dnie mojej duszy, w najtajniejszych głębinach jaźni, żyją ciągle przodkowie moi—ich uczucia i przeżycia, ich pożądania i ideały, ich wiara i pamięć. Dlatego ludy i plemiona, odmiennymi nawet językami mówiące, ale które krzyżowały się ciągle przez wieki i pokolenia i które przeżywały razem tę samą historję, które mają te same wspomnienia dziejowe, we krwi przechowane, ludy takie mają zawsze jedną ojczyznę, i ta ojczyzna nie jest czymś zewnętrznym dla nich, sztucznym, narzuconym, albo tylko wspólnym państwowym dachem nad głową, lecz, przeciwnie, stanowi ich własną duszę, jest głębszą i najważniejszą cząstką jaźni każdego człowieka. Wybitny przykład tego, jak się tworzy „ojczyzna“, stanowią dla nas Żydzi; ponieważ krzyżowaniu z nami nie podlegali i mieli zawsze własne życie zbiorowe, zamknięte i odgraniczone od naszego, dlatego też, pomimo życia wśród nas przez tyle wieków, nie mają jednak wspólnej z nami ojczyzny i zachowali swoją odrębną, bez ziemi i granic, nawet bez języka własnego.

Na krytyce p. A. nie poprzestał. Streścił on te sprawy, które najżywiej nas dotyczą, a więc *unarodowienie miast*, *zorganizowanie wychodźtwa* i szerzenie idei powrotu wśród Polaków, osiadłych za granicą a zwłaszcza na Dalekim Wschodzie i w Ameryce. Z tych trzech idei „siły“, jak je autor nazywa, najmniej głoszona jest ostatnia. Toteż przytaczamy ustęp, jej dotyczący.

Zamiast bezcelowych i szumnych manifestacji patrjotycznych, urządzanych na polskich obchodach i sejmikach w Ameryce, stokroć bardziej patrjotycznem byłoby zorganizowanie tam Ligi, którąby ideję powrotu do ojczyzny szerzyła jako obowiązek narodowy, i którąby ułatwiała takie przenoszenie się kapitałów, interesów i przedsiębiorstw przez odpowiednie informacje i nawiązywanie stosunków ekonomicznych. Z owych trzech czy czterech miljonów Polaków amerykańskich niechby wróciła do kraju choćby szósta część tylko, tych zamożniejszych i wykwalifikowanych fachowców, a już to samo wystarczyłoby na wypełnienie znacznej części luk, jakie dziś przedstawia etnograficzne jądro narodu w swym stanie posiadania.

Dla skupienia sił swoich nad Wisłą nie potrzebujemy pomniejszać ojczyzny; wystarczy zupełnie, jeżeli zgromadzimy te siły, jakie są rozproszone poza jej granicami.

Dokumenty niemocy — materjały do reform. (C. d.)

Bukowsko (pow. sanocki) liczy Polaków 1844 (66½%), Rusinów 37 (2%), Żydów 886 (32%) razem 2767. Ludność polska w mieście, słaba liczebnie, nie jest także ani kulturalnie, ani ekonomicznie silniejsza. Natomiast ludność podmiejska ma się lepiej. Burmistrzem jest Polak, ale Ż. mają przewagę w Radzie gminnej, którą kierują. Instytucji finansowych 3—2 żyd. 1 polska. A oprócz tego kasa Raiffeisena czysto polska. Ze stowarzyszeń—Sokół i Czytelnia ludowa. Próba założenia koła T. Szkoły Lud. nie powiodła się. W mieście przeważna część nieruchomości jest w rękach ż., w podmiejskiej okolicy—stosunek odwrotny. Ruska własność jest minimalna. Z wyjątkiem handlu nierogacizną reszta w ręku ż. Przemysłu niema. Rzemiosła przeważnie polskie. Żywioł polski mieszczański nie dźwiga się, przeciwnie, mieszczanie z małego Bukowska przenoszą się do Bukowska — wsi. Dopływ ludzi minimalny, zato rozwinięta jest emigracja. Mieszczanie i rolnicy do inteligencji nie garną się, nie pracują z nią, tymbardziej, że warstwy oświecone—narodowo i wyznaniowo mieszane o przyciągnięcie tej ludności nie dbają. Stosunek do władzy b. poprawny. Konieczna potrzeba organizacji.

Niemirów (pow. rawski): 600 Polaków, 703 Rusinów, przeszło 2000 Ż. Jest kilkunastu polskich właścicieli gruntów i domów. Reszta — drobni rzemieślnicy: bednarze, szewcy, sitarze, rymarz, kominiarz, wogóle podupadli. Rozwijający się zakład niemirowski (łazienki siarczane) daje ludności odpowiedni zarobek, zwłaszcza w lecie, ale emigracja mimo to istnieje. Burmistrzem jest Polak; połowa jednak żydowska—ma głos decydujący. Z instytucji finansowych—polska jest kasa Raiffeisena. T. Szk. L. ledwo wegetuje, z wypożyczalni korzystają najchętniej Ż., a zwłaszcza Żydówki. Kółko rolnicze istnieje „raczej" na papierze. Sklep jego nie mógł się utrzymać. Liczne natomiast sklepy żydowskie i ruski spożywczy idą dobrze. Żywioł mieszczański polski, tak fizycznie, jak moralnie, przedstawiałby się raczej dodatnio. W pracy fizycznej, robotnik mieszczanin nie ustępuje okolicznemu wieśniakowi. Inne świadectwa z życia duchowego— to liczna frekwencja do kościoła, chętne czytanie pism, udział w straży pożarnej i Sokole.

Felsztyn (pow. samborski) ongi gród Herburtów, jest biedną mieściną, liczącą 556 Polaków (35,7%), Rusinów 144 (9,3%), Żydów 854 (55%). W r. 1808 były tu 4 rodziny żyd. Mieszczanie przeważnie trudnią się drobnym rzemiosłem (szewctwo, krawiectwo). Żydzi mają liczne sklepy bławatne, z żelazem, wyręby mięsa, handel jajami, drobiem, piekarnie, składy drzewa, dachówek, wyszynki, wapno, cement, banczki. Wykorzystują też lud ciemny, przeważnie ruski, który z okolicy ciągnie w dni targowe. „Mimo to Polacy nadają ton miasteczku przez tradycję". Jednak burmistrzem jest od szeregu lat Ż., wiceburmistrzem katolik, na mocy kompromisu. Mieszczanie w radzie są w mniejszości. Wskutek takiej gospodarki, miasteczko nie ma nawet żandarmerji z obawy, by ta nie wglądała w porządki, wagi, zamykanie sklepów niedzielne i t. p. Kółko rolnicze, gospoda chrześcijańska z koncesją wyszynku, lichy sklep, masarstwo, oto handel polski. Przed 10-u laty powstała Spółka oszczędnoś-

ci i pożyczek, rozwija się dobrze. Wychodźtwo sprowadza nowe mody• nowe zwyczaje, życie nad stan. Domy mieszczan stoją na tyłach miasteczka, bo front i linje główne, w rynku i ulicach zajęli Ż. Ale w mieszczanach polska dusza, sprawić im kontusze, czamary, i rogatywki, będą w nich paradowali, urządzali obchody narodowe. Mieszczanie są dobrymi katolikami i Polakami (w dawnym znaczeniu tego słowa przyp. red. „Prądu"). „Mają czytelnię, kółko amatorskie, straż ochotniczą".

Ale wszędzie tylko słomiany ogień. Zaznaczyć trzeba dziwne wzajemne wpływy Rusinów i Polaków; 150 osób gr. kat. w. przyjęło obrządek łaciński, natomiast język polski miejscami nabrał cech ruskich (mieszczanie mówią „hruby, krywy, wirba, ptahy i t. p.). Nad odpolszczeniem pracuje 6 klasowa szkoła. Potrzebne są sklepy skór, bławatny, korzenny, dalej piekarnia i fachowcy. Tutaj nawet małego kramiku nie umieją prowadzić, po roku już bankrutują.

Dubiecko, założone około r. 1400, nad Sanem, przy gościńcu prowadzącym na Węgry. Dzisiaj mieścina to biedna, zażydzona, Polaków liczą tu 741 (39%), Rusinów 83 (4%), Żydów 1051 (58%). W zarządzie gminy niema mieszczanina. Niema on zresztą żadnego wpływu na instytucje miejscowe gospodarcze i społeczne. A pierwszych jest 3 polskie i 4 żydowskie. Od sklepu kółka rolniczego są zdala, choć konkuruje on skutecznie z 57 sklepami spożywczymi, które mają Ż. Wymienić trzeba jeszcze 2 masarnie i 2 młyny chrześcijańskie. Żydowskie prócz spożywczych—7 rzeźnickich, 17 bławatnych, 5 handli skórą, 3 handle garnkami, wapnem i papą—1, drzewem—3, suszarnia skór, 16 piekarni. Dodajmy 6 szynków na 1 chrześcijański, loterję, składy tabaczne, soli, a z własności majątkowej—200 domów (100 chrześcijańskich) — obraz otrzymamy niewesoły. Rzemieślników polskich niewielu: 25 szewców, 24 bednarzy, 2 krawców, 2 stelmachów, 4 kowali, 2 stolarzy, piekarz. Żydowskich—4 szewców, stolarz, 7 krawców, zegarmistrz, 2 blacharzy, 2 szklarzy, 16 piekarzy. Ale bednarze są zależni od Ż., dla których robią. Wzamian za to Ż. „uwalniają ich od wszelkiego trudu szukania, nabywania gdziekolwiek wiktuałów, najsurowiej zabraniają im gdzieindziej nabywać wszystkiego, czego do domu potrzebują i to pod karą nie tylko nieprzyjmowania ich wyrobów, ale i „licytacji domostw" bardzo zadłużonych. Zarobki bednarza, jeśli od świtu do nocy klepie beczułki 1 kor. 40 hal., szewc od pary butów—1 kor. 60 hal. O życiu duchowym niema mowy, inteligiencja, która wyszła z mieszczaństwa, nie utrzymuje tradycyjnych nici.

Dolina, założona w X w. przez księcia Andrzejowicza. Dawniej wywarzano tu sól. Panami miasteczka są Ż., których liczą 2555, Polaków jest rz. kat. w. 3407, Rusinów 2738(?), Niemców 682. Inteligencji polskiej 82 osób (66,7%), ruskiej 27 (21,9%) żyd. 14 (11,4%). Mieszczaństwo polskie pod względem kultury stoi b. nizko, choć przewyższa Rusinów. Do niedawna potocznym językiem był ruski, którym posługiwano się w domu, na ulicy, w urzędzie i kościele. Język polski nazywano pańskim, a używających go nazywano „stronnikami pańskimi". Istniejący od lat 15 „Sokół" nie zdołał skupić liczniejszego mieszczaństwa, założone przed 16 laty Tow. Szkoły Lud. zamarło; księżnica jego spaliła się. Nawet, 24 lata liczące Kółko rolnicze nie wywiera wpływu gospodarczego. Za to miesz-

czanie urządzili „Kasyno“, gdzie piją i grają w karty, z „Kasyna“ wyszła myśl założenia tow. socjal. „Jedność“, które zresztą, jeśli nie uwzględnimy tradycyjnego 1 maja upadło. Doszło do tego, że kiedy postawiono wniosek o założenie sklepu przy kółku rolniczym, pewien adwokat Polak prosił o wstrzymanie uchwały, bo wprowadzenie jej w życie narażałoby na niezgodę Polaków rel. rz. kat. i mojżeszowej.

Sieniawa (pow. jarosławski) nad Sanem, była gniazdem rodu Sieniawskich (wywodzących się od panów z „Granowa“). W r. 1726, Zofja Sieniawska, wdowa po Denhofie, zaślubia ks. Czartoryskiego. Odtąd miasto należy do ks. Cz. Do dziś dnia książęta płacą subwencję szkole, założonej jeszcze przez jenerała ziem podolskich. Obecnie S. liczy mieszkańców — 4010; rz. k. wyz.—1500, gr. kat. 30, Żydów—2480. W zawodach wolnych jest 54 Polaków, 6 Rusinów, 11 Żydów. W handlu i rzemiosłach — 224 Polaków (mularzy—194), Żydów 216 (150 kupców), Rusini ani handlem ani rzemiosłami się nie trudnią. Ludność polska i ruska przeważnie żyje zgodnie, zmienia się postać rzeczy podczas wyborów. Mieszczan podzielić można na 3 kategorje. Pewna część nieliczna, garnie się do inteligencji, kształci dzieci. Ale dzieci te tylko w nieznacznym stopniu oddziaływują umysłowo na rodziców, moralnego wpływu nie mają. Cechą tej kategorji mieszczan jest, jak po części i innych, zachowawczość i konserwatyzm. Z pychą odnoszą się do niższych warstw. Przeważnie żyją nad stan. Druga kategorja mieszczan najliczniejsza — pod względem oświaty i kultury stoi bardzo nizko. Młodzież (mularze) ulega wpływom socjalistycznym, jest wrogo usposobiona dla myśli narodowej i zdrowej oświaty, szerzonej przez T. Szk. Lud. Starsi w pewnej liczbie analfabeci, żyją nad stan, pracują niechętnie. Trzecia kategorja biedacy żyją ze wsparć lub zarabiają dzienną najemną pracą. Żydzi ekonomicznie stoją bez zaprzenia wyżej od chrześcijan. Pod względem umysłowym stoją za to niżej, więcej niż połowa Ż. jest analfabetami. W radzie miejskiej Polacy mają większość. Faktycznie uchwały rady gminnej sę inspirowane przez Ż. Mieszczanie w instytucjach oświatowych biorą słaby udział, sporo ich jest w stowarzyszeniach przemysłowych 1) w polskim tow. zaliczkowym, 2) mieszczańskim tow. spożywczym i 3) Kasie Raiffeisena 487 członków. Żyd. tow. ekonomicznych jest 4. Własność majątkowa dzieli się następująco: 158 domów należy do Polaków, 295 do Żydów, 4 do Rusinów. W rynku jeden dom chrześcijański. Handel w rękach żyd. Na 104 sklepy — 10 polskich (2 większe). Przemysłu prawie niema, prócz młyna z tartakiem, fabryka betonów i szczotek. Wszyscy starsi mieszczanie zapytywani odpowiadają jednozgodnie, że żywioł mieszczański podupada z każdym rokiem. Emigracja do Ameryki wyrządza dużo złego. Na każdą opuszczoną placówkę wsuwają się natychmiast Żydzi. Synowie mieszczan, kończący wyższe zakłady naukowe, nie wracają do rodzinnego miasta. Dopływ ludzi ze wsi jest bardzo mały.

Ottynja, miasteczko liczące 5002 mieszk. Osób wyzn. rzym. kat. 1073, gr. kat. 1692, Żydów 1995, Niemców 242. Ludności żydowskiej w ciągu lat 10 ubyło 2,2%, jest to, zdaje się, spadek pozorny. W zarządzie gminy przeważają Ż. W ich rękach są wszystkie domy w rynku. Handel, oczywiście, żydowski. Polski sklep kółka rolniczego słabo się rozwija,

przy fabryce miejscowej powstał niedawno sklep dla pracowników. Za to kupców Żydów jest 76; handlujących artykułami spożywczymi—25, zbożem 15, żelastwem 7, galanterją 9. Rzemieślników polskich—9, żydowskich — 48. Z inteligencji—2 adwokatów, 2 lekarzy, aptekarz, weterynarz, naczelnik stacji kolejowej, burmistrz są Żydami. W O. jest odlewnia żelaza, fabryka maszyn rolniczych pruskiej firmy, zatrudniająca 300 robotników. Z instytucji finansowych należy wymienić 3 banki żyd., jeden ruski i polską kasę Raiffeisena. Mieszczaństwo polskie w mowie potocznej używa jęz. ruskiego, dla sprawy polskiej jest obojętne, a że nie przeszło całkiem na stronę wrogów, zawdzięczać należy Tow., „Młodzież polska" w Stanisławowie, które urządza w miasteczku odczyty.

Kańczuga (pow. przeworski) nad rz. Mleczką, słynęła niegdyś z wyrobu koszulek drucianych dla rycerstwa polskiego. Ludności polsk.—1790, ruskiej—50, żyd. 800. Miasteczkiem rządzą Polacy, burmistrz podtrzymuje polski charakter miasta. Instytucje finansowe idą dobrze, zarówno polskie jak żydowskie. Kółko rolnicze nieczynne, rzecz dziwna, gdyż okoliczne wsi i dwory mają wysoką kulturę rolną. Własność majątkowa przedstawia się korzystnie—210 domów polskich, 100 żyd., grunta—360 m. polsk. 40 żyd. Istnieje tu 5 sklepów z artyk. spoż. polskich. Rzemiosła prowadzą przeważnie mieszczanie, ale brak im wyszkolenia. Specjalnością było, kuśnierstwo, białoskórnictwo i druciarstwo. Pierwsze dwa fachy upadły, trzeci jako tako się trzyma. Kobiety zajmują się wyrobami czepczarskimi. Emigracja zaoceanowa młodzieży ratuje niektóre pozostałe rodziny, dzięki zasiłkom pieniężnym. Mieszczanie są dumni ze swego pochodzenia, kto się tu urodził jest „mieszczanem obywatelem", inni zaś, bez względu na wykształcenie i stanowisko, są tylko przywłokami. Wielką wadą mieszczaństwa jest pieniactwo. Do stowarzyszeń oświatowych przystępują mieszczanie chętnie, ale brak im wytrwałości. Tow. spożywcze druciarskie, kółka rolnicze upadły. Należałoby zorganizować rzemieślników, utworzyć Kasę rzemieślniczą z subwencją krajową, aby początkujący rzemieślnik nie zapożyczał się od Żydów.

Lutowiska (pow. liski). Żydów 1700, Rusinów 900 i 180 Polaków. Nieliczni i ubodzy mieszczanie stoją na nizkim stopniu kultury. W gminie rządzą Ż. W rękach katolików jest ledwie kilka domów. Był jeden sklep katolicki, ale upadł z braku wiadomości fachowych właściciela, i z braku kapitału. Przemysłu niema. Żywioł mieszczański polski nie upada, ale słabo się dźwiga. Mieszczanie nie garną się do inteligencji, kierując się swoją rodową ambicją. Gdyby obszar dworski wystawiony na sprzedaż przez Żydów—właścicieli, zakupili Polacy, to Lutowiska stałyby się miastem polskim.

Jezupol nad Bystrzycą. Mieszczaństwo tutejsze odznaczało się męstwem w walkach z Tatarami i Turkami. Miasteczko liczy około 2200 Rusinów, 1350 Polaków, 600 Żydów. W ciągu lat 10 najwięcej przyrosła ludność rdzennie polska. W radzie gminnej Polaków i Rusinów liczba jednakowa, naczelnikiem gminy jest Polak. W instytucjach finansowych Polacy słaby biorą udział (Kasą Raiffeisena zawładnęli Rusini). Szkołą polską kieruje Rusin. Mieszczaństwo jest narodowo uświadomione, ale ekonomiczny stan jego przedstawia się smutno. Do przemysłu i kupiectwa nie

mają ani zamiłowania, ani ochoty. Kółko rolnicze nie może znieść konkurencji bardzo licznych sklepów żydowskich. Wogóle Polacy tutejsi nie mają zmysłu kupieckiego i tylko się zadłużają, biorąc się do handlu. Jest tu jeden szynk polski. Jest również fabryka dachówek. Najlepiej ludność wychodzi na chowie bydła rasowego. Handel jajami jest w rękach żydowskich. Bardzo znaczna część ludności wyjeżdża co roku do Ameryki. Emigranci przysyłają pieniądze pozostałej rodzinie, załączając często i karty okrętowe. W ten sposób ściągają całe partje.

Inteligencja urządza zwykle parę razy do roku przedstawienia amatorskie, obchodzone uroczyście. Buduje się wielki gmach Sokoła, do którego należy wielu mieszczan. Dziwna, że żaden z nich nie wysyła synów do średnich lub wyższych szkół, troska o byt ekonomiczny zupełnie ich pochłania.

Baligród (pow. liski) liczy Polaków 504, Rusinów 345, Żydów 1099. Mieszczaństwo polskie trudni się rolnictwem, to też prócz kilku rzemieślników, stanu tego niema, niema ani jednego polskiego kupca, nawet sklepikarza. Większość w radzie gminnej mają Ż., oni też są właścicielami 151 domów, kiedy Rusini—46, a Polacy 69. W celu podniesienia kulturalnego i społecznego ludności polskiej, grono inteligencji założyło Tow. Szkoły Lud., Tow. katolickie społeczne i kółko rolnicze. Klęską zarówno miejscową jak i narodową, jest wychodźtwo do Ameryki. Przy racjonalnym postępowaniu może się ono przyczynić do wzbogacenia ludności. Tutaj dzieje się przeciwnie. Ojciec np. wysyłający syna lub żona męża do Ameryki uważają go za kasę, z której czerpie się pieniądze na lepsze życie i pijaństwo. Na palcach można policzyć tych, którzy finansowo nie są zachwiani. Na uwagę zasługuje, że Rusini miejscowi t. zw. łemkowie, mówią b. często po polsku, przeto w tym zapadłym górskim zakątku z przyjemnością można słyszeć więcej osób mówiących po polsku, niżeli w miejscowościach innych o liczniejszej ludności polskiej.

Notatki Bibljograficzne.

○ **Książki,** miesięcznika poświęconego krytyce i bibljografji polskiej, ukazał się Nr. 1—2. Redakcję przeniesiono do Lwowa, na redaktora powołano dr. Ludwika Bernackiego, na recenzentów prócz dawnych współpracowników zaproszono specjalistów ze Lwowa i Krakowa, zabrał głos także, jako krytyk Kubali „Wojny szwedzkiej" – Henryk Sienkiewicz. Poziom recenzji podniesiono, dalej, rozszerzono dział bibljografji czasopism na dzienniki; szczegółowy spis nowości zamknięto w dodatku „Miesięcznik bibljograficzny". Szkoda, że w bibljografji dzienników uwzględniono głównie literaturę nadobną z pominięciem artykułów społecznych. Całość wydawnictwa przedstawia się okazale.

○ **Kłosy Ukraińskie** ilustrowany dwutygodnik, wychodzi od lutego w Kijowie pod kierownictwem literackim Ursyna z dodatkiem „Rolnik ukraiński". Pierwszy numer poświęcony jest głównie pieśniarzom Ukrainy.

Ważniejsze błędy drukarskie w Nr. 3. W art. „Zagadnienie ludu polskiego" str. 84 wiersz 14-y od góry zam. „urodzony" czyt. „narodowy"; str. 85 w. 12 od góry zam. „zawodowy" czyt. „narodowy"; w. 14-y od dołu zam. „znaczny" czyt. „znany"; na str. 87 w. 7-y od dołu, wyraz „kazaniami"— zbyteczny.

W recenzji „Teozofia i teozofowie współcześni" str. 103 w. 13-y od góry czytać należy „pierwszą teozofką — *reformatorką* jest".

Redaktor i wydawca: Marjan Pachucki.